Fragmenty historyczne.

Wojciech Porcyusz komendantem Krosna.

Najazd Szwedów, Kozaków, wreszcie i Rakoczego dał się odczuć na Podgórzu karpackiem, dotąd przez wojnę oszczędzanem. W szczególności wojska Rakoczego, zdążające przez Karpaty z Siedmiogrodu w kierunku Jarosławia, niszczyły miasta i sioła podgórskie. Mandatami z Gdańska w grudniu 1656 r. polecał król obwarowanie miast, jak Przemyśla, Sanoka, Krosna, „na których nam wiele zależy“, polecał szlachcie obmyślenie obrony ziemi i powiatów podgórskich; zanim jednakże zaczęto się krzątać i spełniać polecenia, przednie czaty Siedmiogrodzian wespół z Kozakami już zalewały i niszczyły podgórskie sioła i miasta. Dostało się pomiędzy innemi także i królewskiemu miastu Krosnu, którego przedmieścia węgierskie i krakowskie spalone zostały przez wrogów, a i miasto same ucierpiało od napadu. Ani życia, ani kosztów nie szczędzono przy odpieraniu wroga; toż król, pochwalając wierność mieszczan, uwolnił ich od stacyi, noclegów żołnierskich, a spalonych i zniszczonych przedmieszczan uwolnił od podatków.

Z przejściem Rakoczego na północ niebezpieczeństwo, nad Podgórzem ciążące, wcale nie przeminęło. Owszem, tak ziemianie, jak i miasta czuły to dobrze, że wojna obejmuje i strony, dotychczas przez nią oszczędzane, że Rakoczy powracać będzie, a jego Siedmiogrodzianie z za gór każdej chwili napaść mogą na Podgórze, na co wszystko i król w swych uniwersałach zwracał uwagę Podgórzan. Wzrastającej obawie o najazd zawdzięczają niektóre miasta obwarowania, wzniesione w tych chwilach trwogi i nie-

ustannego niebezpieczeństwa: pomiędzy innemi także i Krosno zmieniło forteczny wygląd odnowieniem murów i baszt.

Dla wspaniałości kamienic i murów — jak czytamy o przeszłości Krosna w inwentarzu miasta tego, spisanym 1771 r.[1], — nazywano miasto małym Krakowem. Z początkiem drugiej połowy XVII. wieku można było porównywać je ze stolicą chyba tylko co do animuszu mieszczan, chętnych, podobnie jak Krakowianie, do obrony swych domowych ognisk. Zresztą bowiem, jeszcze przed laty bardzo obronne miasto, nie mogłoby nawet wytrzymać oblężenia. Mury je otaczające, począwszy od bramy węgierskiej, przedstawiały obraz ruiny, długich na setki sążni wynoszących wyłomów, którędy mieszczanie z żywym inwentarzem swobodnie wychodzili w pole, mury bowiem nienaprawione upadały, fosy były zasypane, wały z ziemią gdzieniegdzie zrównane, bramy wyłamane i nie pilnowane; słowem w dobie poczynającej się w Polsce ruiny, w Krośnie już była ruina. Wprawdzie według zarządzeń rozmaitych lustratorów z dochodów wójtowskich corocznie pół tysiąca zł. miało iść na naprawę baszt i wałów, na prochy i strzelbę, a cechmistrze co roku po elekcyi cechmistrzowskiej odbywać mieli rewizyę fortyfikacyi, nie przestrzegano jednak tych przepisów i poszły one w zapomnienie.

Miasto nie miało komendanta twierdzy. Wprawdzie przed samym najazdem Rakoczego mianował król komendantem Piotra Sicińskiego, przeznaczając mu załogę z ziemi przemyskiej, komendant jednak uważał ją za niedostateczną, a wobec braku wszelkich środków obronnych nie chciał objąć poruczonej sobie funkcyi, a z nią i odpowiedzialności za bezpieczeństwo twierdzy i mieszkańców. Król, który przed rokiem w Krośnie parę dni zamieszkał, odbywając narady z Jerzym Lubomirskim, był oburzony na Sicińskiego[2], a chwaląc mieszczan za ich wierność, mianował 5 maja nieszczęsnego roku 1657 komendantem szlachetnego Wojciecha Porcyusza w miejsce Sicińskiego, „którito przy mieście ustawicznie mieszkać nie chce i obowiązku nie pilnuje“. Tak się bowiem w dekrecie nominacyjnym wyrażał Jan Kazimierz o Sicińskim, natomiast nie szczędził król pochwał Porcyuszowi, podnosząc jego

[1]) Castr. Sanoc. T. 254, p. 49.

[2]) Niełaska ta nie przeszkodziła temu komendantowi miasta dopominać się 8 sierpnia 1657 r. u sejmiku sanockiego o koszta „względem komendy Krosna podjętej“. Laudum nazywa go Sienickim, nie Sicińskim.

wiarę i mężne serce, które to cnoty — jak dodawał — wszyscy wynoszą. Łatwo się dorozumieć, że przeciwstawienie wiernego patrycyusza krośnieńskiego szlachcicowi było z rozmysłem podkreślone w owym dekrecie, jeżeli zważymy, że w Krośnie przed dwoma laty ziemianie na zjeździe swym uchwalili oddać posłuszeństwo Karolowi Gustawowi, królowi szwedzkiemu, i z obedyencyą wysłali do najeźdźcy posła od ziemi, stolnika bracławskiego [1]).

Chwalony za wierność szlachetny Wojciech Porcyusz de Lanxet [2]), rodem ze Szkocyi, był osobistością dobrze królowi znaną. Był to patrycyusz, głośny nietylko na całem Podgórzu karpackiem, ale nawet w całej Polsce i Węgrzech. Poprzednik Jana Kazimierza, Władysław IV., mianował Porcyusza swym „faktorem", obdarzył go serwitoryatem, nadawał mu przywileje, jak uwolnienie kamienicy w rynku krośnieńskim od stacyi żołnierskich, jak wyjęcie protegowanego sługi od wszelkich sądów z wyjątkiem zadwornych królewskich, a używał pomocy Porcyusza do wielu spraw finansowych. Również i Jan Kazimierz obdarowywał znanego kupca i patrycyusza łaską królewską. Idąc za przykładem poprzedników, gdyż także ojca swego Zygmunta III., nadał i Jan Kazimierz

---

[1]) Lauda wiszeńskie. II. Nr. 90.

[2]) Że pisał się Albertus de Lanxet Portius, ob. ks. Sarna: „Opis powiatu krośnieńskiego", str. 267. Z Anny Hesner *1-mo voto* Mamrowiczowej miał on troje dzieci, zmarłych w dzieciństwie: Agnieszkę, Wiktoryę i Stanisława. Miał też kilku braci, jak Roberta. zmarłego przed nim 1658 r., i Jakóba, o którychto obydwóch wspomina w swym testamencie (Ibidem. str. 504), wreszcie Tomasza. Pod portretem Roberta Porcyusza w kaplicy farnej krośnieńskiej pod wezwaniem Św. Piotra i Pawła, znajdującym się, jest mowa o nim, jako o fundatorze tejże kaplicy, tudzież kaplicy Św. Wojciecha. Według testamentu Wojciecha Porcyusza był on sam fundatorem tejże kaplicy. Toż ks. Sarna przyjmuje identyczność Roberta z Wojciechem Porcyuszem i poprawia błędy chronologiczne napisu na tablicy nagrobkowej, w kaplicy się znajdującej. Zauważyć jednak należy, że Wojciech Porcyusz w aktach łacińskich zachodzi jako Albertus Portius, że na testamencie, w polskim języku napisanym, podpisuje się Wojciech Portius (Castr. Leop. 347, p. 1336), że nigdy nie występuje jako Robertus-Albertus, co wszystko nie przemawia za identycznością Roberta z Wojciechem. Myli się też Wacław Potocki w swych „Wierszach różnych", wydanych razem z Wojną chocimską" w Warszawie 1880 r.. str. 429, co do narodowości Wojciecha, nazywając go Włochem. Był on Szkotem, jak wielu ówczesnych kupców hurtowników. kupczących potaszami, drzewem, metalami i t. p., jak n. p. Wilhelm Kinketen, Wilhelm Kleynant, Jan More, w Zamościu: Tonson, Davison.

1649 r. przywilej „serwitoryatu“ Porcyuszowi, „naówczas już bezdzietnemu wdowcowi, a wielce dla Kościoła ofiarnemu obywatelowi, który kościół krośnieński strukturą, fundacyami, aparamentami i ozdobami upiększył i pomnożył“, zachęcając go do dalszej ofiarności, aby mógł swobodnie dysponować swym majątkiem, a gdyby bez testamentu zeszedł z tego świata, aby krewni jego mogli bez przeszkód ze strony skarbu królewskiego objąć spadek. Na prośbę Krośnian zezwolił też król wydzierżawić Porcyuszowi dobra ziemskie, należące do miasta, jak wieś Szczepańcowa i łąkę Suchodoły. Także i senatorowie znali zasłużonego Krosnianina i popierali przed królem sprawy Szkota, którego poznali jako szczerze oddanego nowej swej ojczyźnie, ofiarnego i czynnego.

Jeszcze przed nominacyą na komendanta począł Porcyusz pracę nad dźwiganiem murów krośnieńskich z ruiny, zażądał prawdopodbnie od króla funduszów na restauracyę fortecy, której bezpieczeństwo mu poruczono. Równocześnie bowiem z nominacyą, z zawiadomieniem o niej mieszczan i szlachty ziemi sanockiej z nakazem posłuszeństwa wszystkim mieszczanom w sprawach, dotyczących fortyfikacyi pod grozą artykułów wojennych, wyszły i inne mandaty, których wydanie prawdopodobnie sam Porcyusz spowodował. Celem ułatwienia komendantowi zaciągu piechoty dla obrony miasta odstąpił król Krosnu czopowe i akcyzę, której wysokość według normy Przemyśla postanowić polecił wspólnie z komendantem miasta. Celem ułatwienia robót fortyfikacyjnych miasta, narażonego z powodu wojny na wielkie wydatki, uwolnił kr[illegible] wsi miejskie od stacyi i gospod żołnierskich, a szukającym w mieście ratunku, nakazał gospody w mieście kosztem własnym najmować, wyjąwszy tych, którzyby razem z mieszczanami w prezydyum t. j. przy załodze miejskiej służyć chcieli. Szlachtę ziemi sanockiej wzywał król, by według starodawnych zwyczajów wysyłała włościan na pomoc Krośnianom, zajętym przy robotach fortyfikacyjnych a w końcu komendanta bieckiego, który z ramienia swego wysłał był podkomendnego do Krosna, niejakiego Garlińskiego z setnikiem, wezwał król do odwołania tychże.

W taki to sposób ułatwił król Porcyuszowi dzieło podźwignięcia upadłych fortyfikacyi krośnienskich. Przez dwa prawie lata trwała praca pod okiem nowego komendanta, a pod koniec 1658 r. można było już powinszować Porcyuszowi skutków usilnych zabiegów, starań i trudów, dzieło bowiem restauracyi było spełnione i Krosno odzyskiwało miniaturową swą podobiznę ze stołecznym Krakowem. W połowie listopada wspomnianego roku wysłani przez

króla Stanisław Żurowski, notaryusz królewski, tudzież pisarz grodzki sanocki Aleksander Strasz, odbyli rewizyę robót fortyfikacyjnych krośnieńskich. Stwierdzili oni pomiarem szerokość, wysokość i długość murów, wałów, fos, fundamentów, wszystkie tak nowo wzniesione roboty, jakoteż i naprawę starych fotyfikacyi: sprawdzili wszystkie wydatki, łożone na te prace, a w rejestrach starannie wpisane. Idąc od bramy węgierskiej, stwierdzono wybudowanie nowo wzniesionego muru dziesięciołokciowej wysokości, a w bramie przed wyjazdem nowe konkameracye, furty po obu stronach bramy restaurowane, tak samo i bramę nowo okutą, nowo zbudowany most zwodzony okuty sześciołokciowej długości i tyleż szerokości. W dalszej drodze ujrzano wieżę do obrony bramy nową z balów dębowych, przed murami zaś fosę i wał nowy, wzniesiony na miejscu starego zasypanego. Także i naprzeciw ulicy piekarskiej zanotowano znaczną częś nowego muru z dwupiątrową basztą drewnianą, poczem znowu znaczny kawałek nowego muru z blankowaniem, z portykami pod tymiż murami. W kierunku dalszych baszt, jak krakowskiej i ku kościołowi, w kierunku baszty szkolnej około Mansyonarzy zanotowano samego nowego muru parę set łokci i stwierdzono ogółem około pół tysiąca łokci nowych murów. Wydatkował Porcyusz na te roboty forteczne jedenaście tysięcy trzysta dwadzieścia i jeden zł. p. i groszy 18, a że z czopowego i akcyzy tylko 5193 zł. 14 gr. posiadał, przeto dołożył ze swych funduszów 6128 zł. i 4 grosze.

Wprawdzie król już przed rewizyą dał pewne odszkodowanie Porcyuszowi, zezwalając miastu Krosnu, które zaciągnęło pożyczkę od swego patrycyusza, wydzierżawić temuż Suchodół, teraz już folwarek i wieś Szczepańcową, i to na lat ośmnaście, z warunkiem, by nikt nie ważył się na dobrach Porcyuszowych egzekwować długów miejskich, ostatecznie jednak zezwolenie to było tylko utwierdzeniem faktycznego posiadania, gdyż Porcyusz już od lat wielu dzierżawił te dobra miejskie, odszkodowaniem jednak to przedłużenie kontraktu nie było. Za ofiarność, trudy i prace szlachetnego patrycusza krośnieńskiego spotykały go nieprzyjemności, a nawet przykrości. I nie dziwna: był on bowiem, jak wszyscy Szkoci, monarchistą, nie znoszącym zbytku wolności, chociaż kochał państwo, które mu przytułek udzieliło, pewno nie mniej, aniżeli je kochali rodowici Polacy. Nie podnosił Porcyusz w testamencie, wzorem ziomka swego Aleksandra Robessona, narzekań na zniewagę praw i samego króla pana w nowej swej ojczyźnie, wystarczało jednak, że był oddanym królowi poddanym, iż go jak innych zwolenników

silnych rządów nie lubiano, zwłaszcza w kołach ziemiaństwa sanockiego. Nie lubiano go też i w mieście Krośnie.

Porcyusz był porywczym; przywara często kroć u ludzi energicznych, zwłaszcza wśród ówczesnego społeczeństwa spotykana. Nie znosił nieposłuszeństwa, nadużyć, nieporządku w mieście, dlatego też zadzierał z ludźmi i wielu miał wrogów wśród mieszczan krośnieńskich, może i nie mniej, jak ich posiadał wsród ziemian sanockich. Dumny z powodu praw miejskich, jakiemi się od kilku już wieków cieszyło Krosno, z samorządu miejskiego, który ułatwiał miastu rozwój, nie znosił w mieście ani rządów sejmikowych, coraz bardziej obejmujących swą władzą miasta, ani też rządów starościńskich, wkraczających nierzadko w zakres i przywileje praw miejskich. Toż starostowie nie byli obrońcami Porcyusza, a szlachta uważała go za plebejusza i obcokrajowca, który przez monopol wina spowodował zdrożenie artykułu tego, tak bardzo wówczas już rozpowszechnionego w Rżptej i pomawiała go o niweczenie ziemian własnem zbogacaniem się i wzrostem fortuny. Z sejmiku też wiszeńskiego zanoszono aż na Sejm skargi na Porcyusza. „A że voce publica — mówiono na sejmiku wiszeńskim 1647 r. — Porcyusza wszyscy primum et principalem autorem takowych monopoliów (wina) kładą [1]), omnino panowie posłowie dabunt operam (na Sejmie), żeby to iugum z stanu szlacheckiego znieśli, żeby nie tylko Portius, ale żaden extraneus, etiam ius civitatis habens, nec per se, nec per subordinatas personas winem nie handlował. Żądanie sejmiku nie było uwzględnione, a Porcyusz dalej wiódł zyskowny handel winem i czynnie a niemniej energicznie i skutecznie występował w obronie praw Krosna, dumnego z powodu

[1]) Później utarło się mniemanie, jakoby Porcyusz zmonopolizował handel wina i w ogólności zubożył miasto Krosno. Wyrazem tego mniemania jest lustracya starostwa krośnieńskiego z 1665 r. (Castr. San. 267, p. 310), w której czytamy, że ś. p. Porcyusz sub specie boni civis naprowadził różnej sekty ludzi contra privilegia i wszystko miasto prywatę swoją traktując w niwec obrócił. Albowiem mając porozumienie z różnymi kupcami ku przeszkodzie miastu zkąd zagubił, gdyż kiedykolwiek Węgrzyn przyjachał z winami, ten Węgrzyna zaprosił i wina potargował. Gdy zaś kupiec na wina kupienie przyjachał, tenże onego zaprosił i nie dał mu nigdziej kupować wina, tylko u siebie, przez które monopolium sub specie boni civis miasto upadło. Bo przedtem gdy Węgrzyn przyjachał jako do miasta katolickiego, nie mógł w nim więcej przybywać tylko jako gość do trzeciego dnia: emporium będąc wina w Koronie, bogaciło się miasto, bo Węgrzyn i od piwnic płacił i wino musiał, rad nie rad, gospodarzom ad fideles manus po-

starodawnych przywilejów, które nawet tacy ludzie, jak hetmanowie Stanisław Żółkiewski tudzież Stanisław Koniecpolski, szanowali i pomnażali. Porcyusz zresztą nie dał się niczem odstraszyć od obrony praw swoich, jakoteż przywilejów miasta Krosna. Gdy razu pewnego poborca z pachołkami wszedł do miasta celem egzekwowania na biednych mieszczanach zaległych podatków, Porcyusz kazał mieszczanom uzbroić się w rusznice i egzekucyę rozpędził. Uległ wprawdzie za ten czyn nielegalny wyrokowi banicyi, który w tej sprawie zapadł w starostwie sanockiem, ale Porcyusz zasłonił się swym serwitoryatem i wyroku nie wykonano. Było to w 1655 roku.

W czasie dwóchletniej komendy miejskiej, przyciężkiej nawet dla mieszczan, niezadowolenie z powodu rządów Porcyusza objęło całą Sanoczyznę. Wyjątkowe przywileje, nadane miastu, królewskie nakazy do ziemian, by Porcyusza wspierali w restauracyi fortecy, naznaczenie czopowego, będącego podówczas w administracyi sejmików, na restauracyę fortyfikacyi miejskiej, zarządzenia samego Porcyusza o obronności miasta, wywołały sarkania ze strony szlachty. Zaczęto oskarżać go przed królem, mówić na sejmikach przeciwko niemu, źle o dobrych jego chęciach się wyrażać. Wojski żytomierski Jan Nehrebecki handlował potaszami, które Porcyusz potrzebował dla fortecy do fabrykacyi prochu, z którego to powodu kazał Nehrebeckiemu pozabierać zapasy. Gdy Nehrebecki pewnego razu z towarem przybył do Krosna, hajducy komendanta miasta zepchnęli wojskiego z konia, z powodu którego upadku musiał leżeć przez kilka tygodni. Małżonkowie Dryzgiewicze oskarżają Porcyusza przed królem z powodu wtrącenia ich do więzienia przez

---

rzucić. A gdy p. Portius contra iuramentum quod praestitit civitati miał condictamen z rozmaitymi personami i sektami monopolis (sic!) hoc w niwec miasto, w czem antecessorowie nasi nie spostrzegłszy się blanditiis onego uwiedzeni bywali, kiedy się na potrzeby główne miasta u niego się, w wielkie sumy i nieznośne długi zawiedli i dlatego onemu jako sam chciał we wszystkiem folgowali i co kupił beczkę wina za zł. 50, to miastu za zł. 200 przedał abo czasem borgował, i dlatego n. p. Porciusa dobra miejskie zawiedzione są". Dodać jednakowoż należy, że sąd ten o Porcyuszu ustalił się dopiero po jego śmierci w mieście, które — jak lustracya dalej mówi — podupadło na skutek ognia, który ad amussim spalił miasto, powietrza morowego, które przez dwanaście lat trapiło miasto, tak, że nad 1100 ludzi umarło przez inkursye Węgrów i Kozaków, którzy tak folwarki miejskie, jak i przedmieścia popalili.

osm tygodni w miejskim sadzku. Tak przeto i mieszczanie i szlachta wyrażają niezadowolenie z powodu rządów patrycyuszowskich. Nawet na sejmiku, na którym chwalono Krośnian z powodu odparcia nieprzyjaciela, żądano równocześnie, by Sejm zniósł serwitoryaty, które się tam zagęściły ze szkodą jurysdykcyi miejskiej, gdyż obdarzeni tym przywilejem odmawiają stawiennictwa przed sądem miejskim, ani też chcą podlegać urzędowi miejskiemu i ponosić miejskie ciężary. Był to wniosek, na sejmiku czerwcowym 1658 w Wiśni postawiony, a wymierzony przeciwko Porcyuszowi, chociaż go nie wymieniono po nazwisku i imieniu. Natomiast w innym punkcie uchwał sejmikowych całkiem otwarcie wystąpiono przeciwko krośnieńskiemu patrycyuszowi. Był to punkt, skierowany przeciwko administracyi czopowego i akcyzy, z którego to dochodu opędzano wydatki na fortyfikacyę Krosna. „A że czopowe miasta Krosna jest w ręku i administracyi pana Wojciecha Porcyusza, także i akcyza, tedy naszą uchwałą zgodną postanawiamy, aby tenże p. Porcyusz na najbliższym sejmiku w Wiśni stawił się do czynienia rachunku praevio iuramento sub paena in causis fisci... z tym dodatkiem, aby zadnymi serwitoriatami, które nam iurisdictiones iuxta legis praescriptum confundere nie mogą, nie zasłaniał się, więc aby na potem takowych administracyi sine consensu publico ziem naszych nie podejmował się, idque sub paena confiscationis bonorum, ani żaden inszy plebeiae conditionis...“ — dodawano z widoczną chęcią obrazy zasłużonego patrycyusza. — Odtąd też i do komendy miasta Krosna nie przypuszczała szlachta patrycyusza, i na sejmiku lutowym 1659 r. w Wiśni odbytym, zażądała od posłów na Sejm obranych, „by superintendentem fortecy krośnieńskiej był szlachcic, na sejmiku relacyjnym obrany“. Istotnie spotykamy później tylko szlachtę na stanowisku komendantów Krosna, jak Piotra Krasowskiego, Jerzego Nowińskiego i t. p.

Broniony łaską i przywilejami królewskimi, nie myślał Porcyusz o zadośćuczynieniu sejmikujących w Wiśni ziemian. Toż w parę miesięcy później na wrześniowym sejmiku wiszeńskim zapadła taka uchwała: „A że Porcyusz, porwawszy się temere, uprosił sobie contra legem publicam uniwersał J. Kr. Mci na administracyę czopowego i akcyzę w mieście Krośnie, ofiarując z tego praestare munitionem, z czego na tym sejmiku aby rachunek uczynił był adstrictus, czemu iż dosyć nie uczynił, tedy tę kontrowersyę ad iudicium tribunalitium terrestre fisci futurum remittimus poenasque na niego pro arbitramento iudicii decernendas et sum-

mendas irrogamus, a żeby sumę wniósł i rachunek uczynił praevio corporali iuramento w sądzie pomienionym postanawiamy sub rigore iuris". Z dalszego tekstu uchwały widoczna, że sejmikujący popierali mieszczan przeciwko Porcyuszowi: Także też nam constat od miasta Krosna, że te półtora tysiąca zł., któreśmy byli pro munitione miasta tegoż z czopowego naznaczyli ad dispositionem suam wybrał tenże Porcyusz; iniungimus, aby z tego rachunek uczynił... a iż jako sam Porcyusz tak wiele inszych pod protekcyą serwitoriatu, które są prawem zniesione, zasłaniają się od kontrybucyi jako publicznych tak i prywatnych miasta Krosna, co jest zniszczeniem incolarum miasta, tedy uchwalamy, aby się żaden nie ważył zasłaniać takowymi serwitoriatami i egzekucyą IMć p. starosta sanocki aby in delinquentes uczynił uchwalamy. — Czytając te uchwały, nasuwa się myśl, że gdybyśmy nie posiadali protokołów komisarzy królewskich z rewizyi fortyfikacyi krośnieńskiej, tudzież użycia sum z czopowego na nie przeznaczonych, gdybyśmy nie znali przykładów znanej rzetelności krośnieńskiego patrycyusza [1]), musielibyśmy chyba pomawiać Porcyusza o sobkostwo i chciwość i usuwanie się z tego powodu z pod kontroli publicznej. Musielibyśmy nawet w stosunku Porcyusza do miasta i mieszczan upatrywać wyzysk i uchylanie się z pod ciężarów miejskich. Cyfry jednak mówią na korzyść Porcyusza, a uchwały sejmikowe i późniejsze wspomnienia nieprzychylne w lustracyach starostwa krośnieńskiego należy uważać jako wyraz zawiści stanowej z jednej, a wrogów osobistych Porcyusza, których miał pełno pod koniec swego czynnego życia, z drugiej strony. Wszakże i po śmierci Porcyusza sami Krośnianie przypisywali mu winę zubożenia miasta... [2])

Sędziwy a czynny jeszcze starzec spotykał na każdym prawie kroku przeciwności. Wspomniany Nehrebecki uzyskał w sprawie przeciwko Porcyuszowi korzystne dla siebie dekrety po sądach i chciał je egzekwować; Porcyusz w obronie swej musiał żądać od króla listu żelaznego. Mimo exempcyi od sądów, niejaka Garlińska pozwała równocześnie pana komendanta do trybunału lubelskiego., a gdy uniesiony gniewem uderzył jakiegoś chłopaka, który w parę tygodni później zmarł, starosta sanocki Mniszek wydał na

---

[1]) Ks. Sarna: „Opis powiatu krośnieńskiego". str. 337.

[2]) l. c., str. 338. Z tego czasu pochodzi laudum wiszeńskie II. Nr. 184 a., 50. Żydom aby wolno było wszędzie po miastach mieszkać in quantum iura civitatum non extant in contrarium, co się ma i o Krośnie rozumieć.

Porcyusza wyrok infamii i śmierci 1660 r. Skończyło się na tem, że ostatecznie Porcyusz sześć tygodni wieży odsiedział, połowę kary mając sobie od króla jako zasłużony darowaną, ale już był złamany, dogorywał. Nie było mu danem doprowadzić do końca fortyfikacyi Krosna, na którą i Sejm zezwolił, a na którą Porcyusz legował dwa tysiące zł. testamentem. Nie doczekał się nawet rehabilitacyi od wiszeńskiego sejmiku, który dowiedziawszy się o legatach Porcyusza, na rzecz Rzptej uczynionych, posłom swym na Sejm wysłanym polecał, aby pytali się na Sejmie o sumach przez nieboszczyka „dobrej pamięci pana Porcyusza“ Rzptej legowanych...

W czasie, kiedyto zewsząd sarkano na Porcyusza, gdy nieprzyjemności nań się zwaliły, a kłopoty i trudy przygniatały starca o zwątlonych już siłach, wezwał on 7 sierpnia 1658 r. do swej kamienicy, zbudowanej przy farze, ks. Władysława Pleniskiego, Karmelitę, tudzież pisarza miejskiego, Sebastyana Baranowicza, i Wojciecha Raniskiego, bakałarza filozofii, i sporządził przy nich ostatniej swej woli wyraz, testament [1]. Treść jego jest żywem odparciem zarzutów od wrogów pochodzących i pięknem świadectwem szlachetnej duszy cudzoziemca a dobrego obywatela kraju, który umiał wdzięczność okazać swej nowej ojczyźnie. Toż na znak dotrzymanego i życzliwego poddaństwa leguje on najjaśniejszemu królowi Janowi Kazimierzowi 10.000 złp. i ołtarzyk szczerozłoty, do którego oddania Franciszka Gordona i Jana Dansona, krewnych swych obliguje. Królowej ofiaruję 6000 zł., podkanclerzemu kor. biskupowi krakowskiemu Andrzejowi Trzebickiemu jako dawniejszemu swemu pasterzowi, gdyż biskupowi przemyskiemu 2000 zł. i sześć beczek wina, a teraźniejszemu biskupowi przemyskiemu ks. Stanisławowi Sarnowskiemu, którego uprasza o aprobacyę testamentu takąż samą kwotę i tyleż wina, natomiast ks. biskupowi łuckiemu Prażmowskiemu 2000 zł. i trzy beczki wina.

Część wielką wierzytelności, u kupców sobie dłużne sumy przekazuje skarbowi J. Kr. Mci, aby skarb je dochodził, a doszedłszy to wszystko, na zapłatę żołnierzowi obrócił, z tym dodatkiem, iż 10% każdemu dłużnikowi odpuścić pozwala.

[1] Castr. Leop. 847, p. 1316—1336. Z kopii z aktów miejskich krośnieńskich publikował ten testament ks. Sarna w dziele: „Opis powiatu krośnieńskiego“, str. 494—505. Brak tam jednak końca testamentu, z powodu wydarcia kartki w aktach miejskich.

Nie mógł inaczej okazać wdzięczności nowej ojczyźnie rządny Szkot, dobrodziej Mansyonarzy krośnieńskich, jak składając ofiarę tym, których najbardziej poważał, bądź też obdarzając instytucyę, która za najpotrzebniejszą dla Rzptej uważał: wojsku. Był jednak Porcyusz, jak wielu innych jego rodaków w Polsce gościnę i drugą ojczyznę tu mających, gorliwym, jak n. p. Aleksander Robesson, i praktykującym katolikiem, to też, jak w ciągu życia częstokroć czynił [1]), dał i w testamencie swym wyraz rzetelnej pobożności. „Że dusza moja z ciałem śmiertelnem będąc złączona — mówi on — bez grzechowej zmazy i obrazy boskiej żyć nie mogła, przeto aby jakąkolwiek pomoc ku wiecznemu zbawieniu miała, subsidium pewne na pia opera z dóbr mych naznaczam.“ Tutaj następuje cały szereg zapisów, jak na domurowanie dzwonnicy, 10 łokci wzwyż, pokrycie jej miedzią i na zaciągnięcie dzwonów 10.000 zł., a nadto lichtarz wielki mosiądzowy; na dwie przez się fundowane i datowane kaplice w farze krośnieńskiej, a mianowicie na kaplicę Św. Piotra i Pawła, gdzie ciało jego spocząć na wieczny spoczynek miało, tudzież na kaplicę Św. Wojciecha zapisywał cały swój folwark miejski, od Św. Jakóba się ciągnący. Kaznodziei tamże fundowanemu przeznaczał legat: dochód od 1200 zł. z warunkiem odprawienia Mszy św. za duszę swoją i małżonki. Pamiętał i o bractwie Św. Anny, do którego należał, i na altaryę bractwa zapisywał 300 złr. Szpitalowi wielkiemu przy kościele Św. Ducha zapisywał 400 zł., z tem, aby zaraz po śmierci suknie ubogim sprawione były; szpitalowi małemu zaś 300 zł., a nadto dwunastu okolicznym szpitalom, a mianowicie w Jaćmierzu, Jaśliskach, Dukli, Brzozowie, Frysztaku, Jaśle, Brzostku, Strzyżowie, Tyczynie, Żmigrodzie, Sanoku, Rzeszowie po 100 zł. Dobrodziej wielki kościołów zapisywał nadto Franciszkanom i Jezuitom krośnieńskim po 1000 zł., a Karmelitom do Jasła na zasklepienie kościoła również 1000 zł., kościołom zamiejskim Św. Ducha, Świętych Jakóba i Wojciecha po 200 zł. Nie zapomniał także i bakałarzu krośnieńskim, dla którego zapisywał 600 zł., pod warunkiem, aby tenże był promotus Akademii krakowskiej i aby śpiewał z dziećmi dwa razy tygodniowo w kaplicach fundacyi jego litanie do Matki

[1]) N. p. darował Porcyusz Mansyonarzom krośnieńskim 4 łany t. zw. wójtowskie, za kościołem Św. Wojciecha, za murami miasta położone, i kamienicę w mieście (Castr. San. 184. p. 14). W Akt. gr. Tremb. z 1635 r. znajdujemy testament Aleksandra Robessona, który każe sprzedać sprzęty, szaty, złote szpady i t. d. i na kościoły rozdać.

Bożej i do Pana Jezusa. Nawet o dzwonniku, o kalkanciście, o dziadach w kruchcie pamięta wierny syn Kościoła, zapisując na tychże sumę 500 zł.

Pamięć o mieście, w którem ciężką — jak sam mówi — pracą dorobił się majątku, zaznacza legatem 2000 zł. na poprawę murów. Nie było to pierwsze dobrodziejstwo miastu ze strony obywatela i to rodem cudzoziemca świadczone, gdyż już 1550 r. Jan Scholner amore in patriam ductus zapisał miastu na poprawę tegoż 2000 zł. Dobre serce Porcyusza przebija z legatów, dla sług i czeladzi poczynionych: i tak, kierownikowi interesów swych Jerzemu Hayowi zapisuje 1500 zł., Wojciechowi Czaplicowi 500, Wojciechowi Kaniskiemu 400, Janowi szafarzowi 200, Jakóbowi Holendrowi 200, gospodarzowi suchodolskiemu 50, trzem woźnicom 160 zł. kucharkom dwom 70 zł., a wszystkim nakazuje żałobę sprawić. Także i gromadom wsi krośnieńskich i szczepańczowskiej połowę długu odpuścił w dobroci serca.

Resztę dużego majątku legował krewnym, a mianowicie kamienicę zapisał bratu Andrzejowi Porcyuszowi i pasierbowi dr. Pawłowi Mamrowiczowi i tymże także folwark suchodolski. Szczepańczowę, tudzież folwark na Widaczu, a nadto długi przypadłe z Krosna, Lwowa, Zamościa i Litwy. Siostrzeńcowi Janowi Dansonowi zapisywał dobra ruchome i nieruchome i wierzytelności wszystkie w Węgrzech, tudzież wierzytelności gdańskie, wszystko to w jednej połowie, w drugiej zaś połowie Franciszkowi Gordonowi.

Na pogrzeb swój polecał zaprosić wszelkich kapłanów okolicznych. Dla ubogich wyprawić kazał stypę, przyczem podzielić zlecił pomiędzy nich 50 sztuk płótna, każdą po 6 zł. licząc, tudzież 50 sztuk sukna krośnieńskiego lub brzozowskiego, każdą po 18 zł. licząc.

Jeszcze trzy lata po sporządzeniu testamentu żył Porcyusz, coraz to cięższe doświadczając utrapienia. Umarł w 1661 r. w bardzo podeszłym wieku, skoro jeszcze w 1633 r. Zygmunt III. w swym przywileju, nadając bezpotomnemu Porcyuszowi prawo rozporządzenia swym majątkiem, nazywa go starym [1]). Potomstwa nie pozostawił. Oprócz pasierba, dr. Pawła Mamrowicza, miał dwóch braci.

---

[1]) Scotum civem et incolam crosnensem in sua aetate provecta steriliter vivere etc. Przywilej, nadany 20 kwietnia 1632 r. na Sejmie sześcioniedzielnym warszawskim. — w aktach grodzkich sanockich (Castr. San. 152, p. 24—25).

z których jeden, Robert, zmarł jeszcze przed nim w Krośnie[1], drugi zaś, Andrzej, był zamożnym obywatelem i kupcem jarosławskim. Miał nadto siostrzeńca, Jana Dansona, tudzież małżonka synowicy, Franciszka Gordona, którzy żyli i przebywali na Węgrzech i którym też — jak to wypływa z testamentu — legował wszystkie dobra ruchome i nieruchome, w Węgrzech położone, i wierzytelności tameczne i w ogóle majątki swe w państwach cesarza. Przykazał zaś im testamentem, i to pod błogosławieństwem, aby się według informacyi, po szkocku napisanej i dwóch świadków ręką podpisanej, sprawowali, czego gdyby uczynić nie chcieli, wolno ich będzie innym krewnym o to prawem patrzeć.

Andrzej Porcyusz z dr. Mamrowiczem, tudzież Gordonem Dansonem, wreszcie z Wilhelmem Rosem objęli wykonanie testamentem naznaczonych legatów, a także i ściąganie sum u dłużników w Polsce, na Litwie i w Prusiech, gdyż zmarły głównie winem, a pewno i miedzią handlował i w rozmaitych stronach Polski i Litwy miał stosunki kupieckie. Protektorami testamentu słynnego patrycyusza byli: biskup krakowski Andrzej Trzebicki, Mikołaj Prażmowski, biskup łucki kanclerz koronny, wreszcie Stanisław Sarnowski, biskup przemyski. Mimo powagę tych wybitnych osobistości, mimo że testament został objęty osobną konstytucyą sejmową 1662 r.[2], ściąganie sum od dłużników i w ogóle rozwiązanie szeroko rozgałęzionego interesu kupieckiego engrosisty, jakim był Porcyusz, nie szło tak skoro, jakby sobie tego życzono. Egzekutorowie testamentu musieli wytaczać procesa dłużnikom, z drugiej strony legataryuszowie wytaczali procesa egzekutorom, a pośród legataryuszów był także skarb ze swemi pretensyami i miasto Krosno. To ostatnie wytoczyło proces przeciwko Andrzejowi Porcyuszowi z powodu objęcia testamentem legowanej dzierżawy suchodolskiego folwarku i wsi Szczepańczowej, dóbr do miasta Krosna należących, z powodu którego to legatu rzekomo zubożało miasto do tego stopnia, że i podatków zapłacić nie może. Widocznie obdarzone przez zmarłego patrycyusza miasto, nie było z tego legatu zadowolone. Skarb zaś z powodu legatu, na zapłatę wojska

[1]) Robert ów został pochowany w farze krośnieńskiej, jak tego dowodzi napis na portrecie.

[2]) Vol. leg. IV., 836. Powołują się na nią w procesach legataryusze, tudzież komisya z Sejmu wysadzona we Lwowie w sprawach zapłaty wojska urzędująca, w wyroku swym z 2 listopada 1662 r. Castr. Leop. 847 p. 1317 wspomina o tej konstytucyi.

przeznaczonego, a inaczej brzmiącego w konstytucyi sejmowej, aniżeli brzmiał w testamencie w oryginale przez Andrzeja Porcyusza przedłożonym, zażądał wyrokiem od tegoż ostatniego przysięgi, stwierdzającej autentyczność testamentu, którą też Andrzej wykonał. Niebawem po tem zmarł Andrzej, co znowu było powodem zwłoki w rozwikłaniu spraw patrycyusza krośnieńskiego.

Kierownik interesów nieboszczykowskich, Jerzy Hey, nie pobudzany przez spadkobierców do energicznej czynności, nie przedkładał protektorom testamentu i skarbowi Rzptej rachunków handlowych, nawet nie pospieszył z dokumentami do otwarcia depozytu, przechowywanego w skarbcu kościoła krośnieńskiego, słowem jeszcze w 1665 r., a więc w 4 lata po śmierci testatora, nie uczynił niczego do rychlejszego rozdziału spadku. Wprawdzie grożono mu infamią i banicyą, gdyby rachunków nie przedłożył, ale sprawa rozwiązania spadku nie postąpiła przez to zagrożenie. Innych spadkobierców, jak syna i wdowę po Andrzeju Porcyuszu, dalej Wilhelma Rosa, Gordona i Dassona, pozwano na instancyę skarbu o rozdzielenie 17.000 zł. węgierskim sukcessorom Porcyuszowym, zabranie win najdroższych z piwnic krośnieńskich, a nawet o ściągnięcie z palca nieboszczyka drogiego pierścienia, wartości tysiąca dukatów, słowem o działalność na szkodę legataryuszów, a mianowicie Rzptej, kościołów, szpitalów, gmin duchownych i świeckich.

W obec takiego stanu rzeczy nie dziwna, że i legat nieboszczyka dla Krosna nie tak rychło, jakby tego potrzebowało miasto, był zrealizowany. A potrzeby miasta były niemałe, skoro — jak na sejmiku wiszeńskim przedsejmowym 1665 r. mówiono — miasto, które w czasach niebezpieczeństwa obywatelom było ucieczką i ochroną, do całego zniszczenia przyszło — i żądano, aby posłowie wszelkimi sposoby starali się o obmyślenie odrestaurowania. Ruina — jak lauda wskazują — była spowodowana przez żołnierzy, którzy miasto „w retentach trzymali“, wyduszając z mieszczan resztki mienia, tak, że ci się wynosili gromadnie z miasta; a fortyfikacye upadały. Na dobitek trybunał koronny zniósł konstytucyę sejmową o bezpieczeństwie miasta Krosna uchwaloną, wydał kondemnaty, uszczuplając niemi dochody i dobra miejskie, i szlachta poleciła posłom swym starać się na Sejmie 1671 r., aby te dekreta były kasowane. Mieszczanie podupadli składali winę ruiny miejskiej także i na ś. p. Porcyusza, zeznając wobec lustratorów starostwa, jak n. p. 1665 r. [1]), jakoby przez zmonopolizowa-

---

[1]) Castr. San. 267 p. 310.

nie handlu wina w Krośnie zubożył miasto, a przez pożyczki, dawane mieszczanom, objął zastawem dobra miejskie. A przecież stwierdzają oni, że w mieście było 30 browarów piwnych i wódczanych, a w środy i soboty takie mnóstwo zjeżdżało się ludzi, że przez ulice trudno było przecisnąć się przez tłumy. Niezawodnie handel ten i przemysł zawdzięczało miasto tak energicznym burmistrzom, jakim był Porcyusz. Na sejmikach wiszeńskim zlecano komendantowi Krosna, „aby na fortyfikacye legowane sumy Porcyuszowe poodiskował, a gdy to nie nastąpiło, aby instygator nie bronił dochodzić sum na dobrach Porcyuszowych". W 1671 roku uchwalono, aby Piotr Krasowski, wspomniany wyżej komendant Krosna, według dawnego laudum 2000 zł. legowane przez Porcyusza rekuperował et evincat, a następnego roku wskazano, aby sumę tę ściągnięto ex bonis immobilibus kamienicy Porcyuszowskiej w rynku, Widacza itp. Widocznie niebawem po tem sumy zostały spłacone, gdyż w laudach sejmikowych nie spotykamy już wzmianki o legatach „dobrej pamięci pana Porciusza komendanta Krosna".

Antoni Prochaska.

Z zagadnień metafizyki Krasińskiego.

Założenie.

Zagadnienia romantyzmu polskiego w szczególności, a europejskiego w ogólności, są do dnia dzisiejszego nietylko nie rozwiązane, lecz nawet nie postawione. Mija już pełne stulecie, od kiedy wązkimi strumykami romantyzm wciskał się w literaturę polską, a przecie dotychczas krytyka polska nie chciała, lub nie zdołała ująć tego kierunku, zanalizować go i przedstawić jego wartości dodatnich i ujemnych.

Szukając przyczyn takiego stanu rzeczy, zdaje się, że nie będziemy na drodze błędnej, jeśli podkreślimy z jednej strony przeobfitość i wszechbogactwo zagadnień, które romantyzm wniósł w literaturę i w życie, z drugiej zaś strony należy uwzględnić i to, że krytyka staje wobec twórców romantycznych (w jak najszerszem znaczeniu) tak wielkiej miary, jak nasza trójca wieszczów, a dalej: Towiański, Norwid, Mochnacki, Trentowski, Lelewel, Zaleski, Goreczyński, Hoene-Wroński, Kremer, Grabowski, Cieszkowski i tylu, tylu innych. Zbadać, co każdy z nich w istocie swej stanowił i jakie rozwijał problemy, rzecz to nie łatwa i nie chwilowa. Można rzec śmiało, iż długo jeszcze będziemy czekali, nim choćby w części najważniejszej zrozumiemy, a raczej uświadomimy sobie w zarysach przynajmniej kształt tego kierunku, który zwykło się określać mianem romantyzmu. A jeżeli dodamy jeszcze, że dziś już pojęliśmy, iż epoka romantyczna — to nietylko epoka literacka, lecz w pełni swojej całkowitej epoka życia i kultury, cechująca wszelkie objawiające się wonczas zjawisko polityczne, ekonomiczne, społeczne, literackie, filozoficzne, a nawet teologiczne, zrozumiemy

tedy i to. jakich przeogromnych badań przedwstępnych wymagałaby praca nad romantyzmem literackim Polski. zniewolona badać go w związku z wszystkiemi zjawiskami innemi. stanowiącemi wzajem jedną. nierozerwalną całość.

Rzecz oczywista, że prace o Mickiewiczu. Słowackim i Krasińskim są i były najczęstsze — i przyczynę tego nietrudno wytłumaczyć. A jednak — doznajemy klątwy romantyzmu: mści się on na nas dlatego. iż tych największych ludzi jego epoki staramy się zrozumieć i pojąć w oderwaniu od całości dziejowo-kulturalnej Europy, a raczej dlatego, iż ją zbyt powierzchownie ujmujemy, przechodząc mimo problemy najistotniejsze, o najpotężniejszej wartości.

Stąd skutek jasny: nie mamy dotychczas żadnej pracy, któraby orzekała: oto całokształt poglądów Mickiewicza. Słowackiego, Krasińskiego. — oto zagadnienia, które ich umysł zajmowały i których rozwiązanie stanowiło wytyczną ich życia. Mamy wprawdzie monografie, lecz są one zbyt historyczno-literackie. aby się mogły stać wyrazem całości. Są to raczej próby skreślenia postaci naszych wieszczów, wpływów, którym ulegali. niźli rzeczywisty schemat poglądów, jakie mieli. i wpływów. jakie sami na życie i ludzi wywierali.

Boć. wykazano-że dotąd. co też utrwalone zostało przez życie z tego. co oni w życie wnieśli? czyż zdajemy sobie sprawę z tego. że twórczość i struktura ich psychiki nadawała życiu współczesnego im pokolenia ton i barwę taką, jaką oni zdobyli w sobie wśród walk i wysiłków twórczych? czyśmy starali się ująć wewnętrzną istotność ich tytanicznej pracy, która — zda się — jedyna dotąd w naszych dziejach szła równolegle z pracą Zachodu, a nawet ją wyprzedzała?

Mniemam, że z góry należy sobie powiedzieć: umysł ludzki nie zdoła nigdy zamknąć całkowitego nurtu życia i jego objawów w pojęciach i terminach, wykluczających wszelaki pęd i rytm tego życia, a uwzględniających tylko treść i objaw zewnętrzny. Wobec romantyzmu, który uosobił i starał się być jeno uosobieniem rytmu psychicznego życia, wnoszącego zarówno doskonałość jak i błędy, powinniśmy stanąć z pewnego rodzaju obawą, by tej jego istotności nie pominąć. A naonczas przenikniemy szkielet jego procesu, by módz z tego wywnioskować, jaka będzie jego zawartość.

Słowem, budowa romantyczna jest tak różnorodna i niejednolita. że obejmować jednem mianem ową epokę, znaczy zamknąć ją

właśnie w zarysach z nią sprzecznych. I należy się też obawiać tego, by się nie stało z nią podobnie, jak z epoką scholastyczną: by nie usunął jej z dziejów jakiś humanizm i odrodzenie, które się zwolna przeobrazi w pseudoklasycyzm (w jego znaczeniu ujemnem).

Jeden z najciekawszych problemów romantycznych — to zagadnienie filozofii ducha i natury. Zagadnienia tego nie omijają ani Mickiewicz ani Słowacki; tem bardziej Krasiński. Ten, dla którego nawet poezya była dociekaniem filozoficznem, a dzieje przedstawiały o tyle tylko wartość, o ile zgadzały się z jego schematem historyozoficznym, — przedstawia poniekąd najbardziej skończony wyraz psychiki kulturalnej swej epoki: uzasadnienie logiczno-filozoficzne marzeń, wysnuwanych uczuciowością całego organizmu, i oparcie sympatyi lub antypatyi społeczno-politycznych na szerokiem podłożu racyonalizmu (pseudo-)historycznego — stanowi istotny moment struktury poglądowej na świat tego poety-filozofa.

Metafizyka Krasińskiego, to jego całość poglądów na zagadnienia istoty wszechświata, człowieka i Boga, — to metafizyka natury, piękna i moralności; państwa, religii i dziejów: z drugiej zaś strony, ze strony rozwoju dziejowego — to metafizyka utopii, wiary w mesyaniczne powołanie Polski i w Królestwo Boże na ziemi. I jeszcze więcej. Metafizyka jego — to i psychologia jego indywidualności, to jej objawy i wyraz zewnętrzny, to jej ustosunkowanie się do zewnętrznego nurtu i treści życia. A nadto — to nieskończoność zagadnień bytu wogóle, których Krasiński nie rozwiązał, jeno zaznaczył, które narzucały się duchowi jego, stanowiąc raczej jego podstawę psychiczną sposobu ujmowania zjawisk, niźli podstawę zewnątrzną, wobec której miał zająć jakiekolwiek stanowisko.

Sądzę — a pragnę to podkreślić już na początku, — że do psychiki Krasińskiego będzie krytyk romantyzmu wracał zawsze, jako do źródła, istoty i wyrazu psychiki romantycznej. Krasiński — to rzadka w współczesnej mu Europie dusza twórcza. Zbliżamy się do niej z pewną obawą i lękiem, uciekamy od niej, bo czujemy zbyt wiele z nią wspólnego. Mogę śmiało rzec, że Krasiński — to najtragiczniejszy romantyk, nietylko polski. Tragizm jego nie promieniował na zewnątrz, nie zdobywał się i nie przekształcał się w czyn, jak tragizm Mickiewicza i Słowackiego. Widział on i czuł głęboko tragizm swego narodu i tragedyę Polski: lecz nie ujmował ich życiowo, jeno krytycznie i filozoficznie.

Tragizm Krasińskiego — to tragiczność jego myśli i marzeń w przewadze nad życiem. To usiłowanie zrozumienia tragicznego losu Polski przez pogłębienie jej tragizmu, przez uświadomienie stosunku tragizmu polskiego do europejskiego. Twórczość Krasińskiego jest wzorem autokrytyki romantycznej. Owa potrzeba uświadomienia sobie zajętej każdorazowo pozycyi swojego „ja" do zewnętrznych, tworzących się w świecie zjawisk, prowadziła Krasińskiego do pesymizmu w poglądzie na teraźniejszość. Pesymizm, mający uzasadnienie w niezgodzie jednostki z potrzebami i stosunkami społecznymi, naglił umysł jego do tworzenia przyszłości lepszej od epoki współczesnej. Stąd stanowcza przewaga marzeń nad życiem, stąd ich wzajemny spór — i tragizm poety.

Tragizm romantyczny. O tyle jednak wyższy od powszechnego w Europie, że jest sam przed sobą uzasadniony filozoficznie, że posiada swe źródło w potęgowaniu świadomości istoty życia, i — co najważniejsza — że na dnie swem kryje wiarę w świt szczęścia, wróżonego przez Kościół. Co więcej, jest to tragizm poety, który pogłębiwszy dzieje ludów, stwarza sobie obraz utopijny przyszłości, niedalekiej od realizacyi w jego marzeniach — a życiu zupełnie obcej i nie dającej się zastosować. Tragizm nerwów i uczuć, reagujących w poecie w stopniu niebywale silnym na zjawiska życia, — tragizm, szukający swego rozwiązania poprzez racyonalizm intelektualny.

Metafizyka Krasińskiego, to nie system logiczny jego poglądów na byt: aczkolwiek poeta logicznie je wysnuwał i tworzył. To jeno całość i szereg zagadnień i motywów, które nurtowały w umyśle tego poety-filozofa i nadawały mu charakter problemów życia, — a które mają tę wspólną cechę, że są metafizyczne. Metafizyka jego — to ucieczka przed życiem, po poznaniu i zanalizowaniu wszelkiego zła w życiu samem, — to szukanie schronienia w marzeniach i wierze, że intelektualizm i prawa jego ziszczą i ziścić muszą prawdę, którą głoszą. Jednem słowem, to całokształt wiary poety, dla którego p o j ę c i e ż y c i a przedstawiało wartość o wiele większą, n i ż l i ż y c i e s a m o i p r o c e s ż y c i a, — owo pojęcie życia, które zdobyte uporczywą walką myślową, niejednokrotnym sceptyzmem i pesymizmem, stało się jego wiarą.

W szkicu tym chodzi mi o wydobycie i podkreślenie jednego z najważniejszych i istotnych zagadnień, któremi Krasiński się zajmował, względnie motywów, które stanowią zasadniczy rys jego metafizyki.

a) Problem życia i śmierci.

Zagadkowość życia, jego cel na ziemi, znaczenie śmierci i życia zaziemskiego, — te pierwsze wogóle zagadnienia dojrzewającego umysłu ludzkiego znalazły swój oddźwięk w tak wcześnie już dojrzałym umyśle Krasińskiego. Niejednokrotnie starał się przeniknąć do samej głębi wartość życia indywidualnego i zbiorowego, zanim jeszcze pojął w ogólności treść dziejów i ich proces. I jasną jest rzeczą, że owe młodzieńcze pojęcia stały się podłożem, na którem tem śmielej rozwijał je póżniej, im bardziej zżył się z niemi w swej uczuciowej wyobraźni, spotęgowanej obrazami ponurych nastrojów Walter Scotta, Byrona i innych.

Już z najwcześniejszych utworów Krasińskiego można odczytać rysy jego struktury psychicznej, które określały warunki takiej a nie innej budowy jego metafizyki. Rysem zasadniczym — bezsilność myślącej jednostki i jej wymarzonych ideałów wobec dokonywujących się aktów życia.

Jeszcze przed powstaniem listopadowem zaznacza się wyraźnie kształtujący się pogląd Krasińskiego. Brak w nim pojęcia energii, woli czynnej, działającej na życie swą indywidualną mocą. Proces życia jest dla Krasińskiego-młodzieńca procesem odeń niezależnym. Wobec tego procesu staje on nie jako jego twórca, lecz jako widz i obserwator. Nie jednostka działa w życiu, lecz życie dokonywa się poprzez jednostkę: jednostka odbiera szereg wrażeń i wzruszeń, dostarczanych przez życie; zachowuje się całkowicie biernie, nie działa ani nie czyni, jedynie przyjmuje od życia to, co ono jej daje, gdy przez nią przepływa. „Et qu'est-ce que la vie? — pyta Krasiński w r. 1830 [1]). — Une suite de sensations et d'émotions qui quelquefois unies, quelquefois contraires, s'enchainent les unes aux autres, jusqu'à ce que la chaine soit rompue par la mort... Bo czemże jest życie? Szeregiem wrażeń i wzruszeń, które niekiedy zgodne, niekiedy sprzeczne, łączą się jedne z drugiemi, póki śmierć nie zerwie łańcucha...“ Zdanie to tłumaczy wiele.

Analiza wzruszeń i wrażeń, jakich człowiek doznaje, stanowi jedyny wysiłek i pracę jednostki. Na tej podstawie można wnioskować o życiu i jego znaczeniu: można zbudować system życia, równowartościowy z życiem samem. Mocą swoich wrażeń, mocą wyników, które otrzymuje, analizując szereg tych wrażeń, tworzy

1) Szkic p. t. „Sur la vie“.

sobie Krasiński system życia. Jest to system dowolny: można odrzucać w nim wszystko, co nie odpowiada obecnemu lub umiłowanemu nastrojowi duszy, albo nie jest zgodne z urobionym aparatem myślowym. I tak jest w rzeczywistości.

Linia rozwoju pojęć o życiu biegnie równolegle z rozwojem krytycznym Krasińskiego: pojęcie życia poczyna dlań przedstawiać coraz bardziej wartość przedmiotu analitycznego, wartość krytyczną, mającą swe założenie w uzasadnieniu filozoficznem. Krasiński nie schodzi już nigdy z zajętego przez siebie stanowiska obserwatora: należy to podkreślić. Raz już stanawszy silną nogą wobec procesu życia nie jako jego twórca, lecz jako widz i analityk, musi się oprzeć na czemś, co życiem nie jest. Miarą oceny życia staje się jego zgodność lub niezgodność z misternie wykończonym systemem filozoficznym. Jest to — jak w owym czasie wogóle — system spekulatywny. Ma tyle z życiem wspólnego, o ile życie stanowi przedmiot analizy Krasińskiego i o ile pragnie poeta poglądy swe urzeczywistnić: — zrealizować swoją utopię.

Nietrudno przeto zrozumieć i wytłumaczyć pesymizm Krasińskiego. Pesymizm romantyczny w młodości. Pesymizm filozoficzny w wieku dojrzałym. Życie go nie zadowala. Po za szeregiem wrażeń i wzruszeń, po za gorącą potrzebą wylewu gwałtownych uczuć i świadomością uniemożliwienia tego w życiu, Krasiński-młodzieniec nic w życiu ponadto nie widzi i nie czuje. Stąd smutek i rozpacz, samotność i ucieczka przed życiem:

„Je m'isole de vous tous qu'ai-je de commun avec les hommes qui m'environnent?... Oddzielam się od was wszystkich, bo cóż mam wspólnego z otaczającymi mnie ludźmi?“ [1]

Ucieczka przed życiem rzeczywistem — to całkowite oddanie się marzeniom o życiu innem, nierzeczywistem, zaziemskiem, pogrobowem. Dla Krasińskiego staje się też śmierć istotnie ważniejsza od życia. Przynajmniej *in statu nascendi* jego poglądu na świat, kiedy to zwolna dopiero krystalizuje się całokształt jego wiary. Wierzy, iż po śmierci osiąga się prawdziwe i istotne szczęście życia: życia zaziemskiego. Wie, że życie ziemskie skończyć się musi: śmierć jest tylko rozwiązaniem tego życia: „jusqu'à ce que la chaîne soit rompue par la mort“. Życie pośmiertne jest nieśmiertelne, wieczne. Posiada ono dla Krasińskiego znaczenie

[1] Szkic p. t. „Le siècle dans lequel nous nous avançons...“ (1831).

wiary religijnej: tam jest granica działalności życia, tu przeważa pesymistyczna bezsilność jednostki.

Zwolna jednak wysnuwa swą wiarę w życie inne. Zbyt obcy jeszcze mistycznym uniesieniom niemal religijnych cudów, by módz w nie uwierzyć. Byt ziemski przedstawia dlań zawsze ponętną zagadkę, którą pragnie nietylko rozwiązać, lecz nadewszystko do istoty swojego poglądu na świat zastosować. Na razie cechuje go pesymizm. Byt ziemski identyfikuje z cierpieniem. Po za cierpieniem jest nicość. Są to chwile rozpaczy Krasińskiego: a przyczyny ich różnorodne. Listy do Reeva a cechuje z różnych stron jedna i ta sama dążność: potrzeba oparcia się na jednej, stałej i niezmiennej zasadzie. By według niej mógł objąć byt i życie. A życie to daje mu się nazbyt we znaki: nie idzie wcale po jego myśli; proces życia nie dokonywa się po tej linii, która przyświeca z trudem wyłaniającej się idei Krasińskiego.

Zostaje mu jedno z dwojga: albo życie naginać i pod jego podporządkować swojej woli i nadać kierunek taki, jaki odpowiada jego zmiennym stanom uczuciowym, — albo od życia uciec, nie mogąc się z niem zharmonizować i wytworzyć sobie życie inne, idealne, utopijne, — życie własne i tylko specyficznie własne, i w niem odnaleźć siebie i swą pogodę ducha. Rozstrzygnięcie wyboru przychodzi mu trudno. Tem trudniej, że w myślach rwie się do czynu i wierzy w swą energię czynną, nie mając jej wcale, a z drugiej strony nęci go spokój i życie inne, pełne harmonii, bez walk i rozpaczy życia ziemskiego.

Powstanie listopadowe i jego dzieje odzwierciedlają każdy moment tej walki o pogląd. Krasiński przeżywa w tym czasie swe własne powstanie. Zatraca czasami w sobie wszystko, w nic już nie wierzy. Upadek powstania jest dlań zwycięstwem piekła na ziemi. Rodzi się w nim jedno wielkie uczucie: — nienawiść. Nienawiść do świata i ludzi, nawet do siebie samego. I z nienawiści poczyna się kształtować pierwszy zarys i promień wiary: wiary w jakieś wielkie zniszczenie i w wielki cmentarz na ziemi. Motywy przyszłej „Nieboskiej" i „Irydyona". Rozwiązanie problemów w tych utworach — to punkt zaczepny dla samego Krasinskiego w życiu.

Pragnę podkreślić ów przełom: Krasiński odnajduje siebie i znaczenie życia w tem, że zamyka oczy na istotną wartość dokonywującego się przed i przy nim procesu życia i cofa się w przeszłość. Analogia historyczna bierze stanowczą przewagę w kształtowaniu się myśli, by później stać się podstawą jego historyozofii.

Życie współczesne jest dlań uosobieniem zła. Z tej świadomości stosunków w społeczeństwie wyłania się nadzieja i wiara w przyszłość. Również mocą analogii — momentów religijnych.

Przełom psychiczny Krasińskiego kończy się przezwyciężeniem pesymizmu i rozpaczy: za cenę odrzucenia teraźniejszości. Wysnuwa sobie świat nowy, oparty na dwóch filarach: analogia historyczna odsłania mu prawdę dziejową taką, jaką widzieć pragnie, a więc odpowiadającą zupełnie jego marzeniom o szczęściu, — a z drugiej strony analogia religijna, ewangieliczna urzeczywistnia dlań przyszłość na drodze ku dobru. Proces dziejowy i jego prawdę zamyka w jednym jedynym stosunku: ewangielii i jej myśli do toczącej się około niej historyi. Stosunek ten przenosi do dziejów współczesnych i każe mu się urzeczywistniać paralelnie. A raczej odkrywa go w teraźniejszym toku historyi i wysnuwa zeń szereg analogicznych konsekwencyi. Są to konsekwencye na wskroś metafizyczne.

W życiu współczesnem, teraźniejszem nie widzi nic godnego życia. Ono jest dlań procesem negatywnym. Gdyby mógł, zniszczyłby je jednym ciosem, aby przyspieszyć przyszłość, analogiczną do tej, którą ze swej strony przepowiadała ewangelia życiu swojemu. Nie mogąc jednak tego procesu życiowego zniweczyć lub energią swoją i swego ducha nim kierować, odwraca się od niego i poczyna żyć przeszłością i przyszłością. Do odbywającego się przy nim i po za nim procesu życia odnosi się wrogo, z odrazą, niechęcią: życie to staje się dlań jeno oczekiwaniem niecierpliwem tego, co mocą analogii wymarzył sobie dla dziejów przyszłych.

Zastosowując przeszłość do przyszłości, mniema, iż ona po jego myśli się zrealizuje. Stwarza sobie z procesu dziejowego jego logikę i pragnie przewidzieć na podstawie wniosków logicznych przyszłość: ją wyrozumować. Uzasadnia ją racyonalnie, bo uważa rozum za moment twórczy dziejów. Co więcej, czuje, że rozumem musi człowiek uzasadnić to, co mu w jakikolwiek sposób objawione zostało. Wszelkie zjawisko ma dlań wartość, o ile zdoła określić jego położenie względem zjawisk innych, już uzasadnionych. Nawet wiarę religijną wzmacnia dopiero wówczas, kiedy myśl ją pojęła w pewnym koniecznym związku.

Wiara Krasińskiego jest poniekąd wiarą scholastyków: głęboka, fanatyczna, lecz i uzasadniona.

Wyrazem stosunku do teraźniejszości jest „Nieboska“: wyrazem nienawiści do świata i jej przezwyciężenia — „Irydyon“. W „Nieboskiej“ przezwycięża w sobie Krasiński teraźniejszość mocą

potęgi religijnej, cofając się w przeszłość, — w „Irydyonie“ przełamuje nienawiść, na podstawie zasad religijnych o miłości Chrystusowej, każąc tę ostatnią urzeczywistnić w przyszłości. Jeden i drugi utwór jest wyrazem tego samego przełomu, jaki się dokonał w psychice Krasińskiego, — jeden i drugi przynosi rozwiązanie problemów. Pierwszy jest ucieczką przed życiem współczesnem w świat marzeń, drugi jest wysiłkiem zniszczenia owego życia, a po udaremnieniu, również ucieczka — w sen. Proces dziejowy, jako akt dopiero się dokonywujący, jest w obu utworach zaprzeczony: Krasiński zaprzecza ich wartości dodatniej. Życie przedstawia dlań wartość albo jako życie minione, albo jako życie przyszłe: obecne należy co najwyżej prześnić; nawet nie działać. Czyn, wyrosły z nienawiści, przyspieszyć rozwoju dziejowego nie może: Irydyon przegrywa, Pankracy kona. Czyn, wyrosły z miłości, jeszcze nie dojrzał: jest dopiero dziełem przyszłości. Dopiero po upadku, po zniszczeniu stosunków ujemnych stanu obecnego należy działać: wtedy rozpoczyna się działanie przyszłości. Irydyon musi przeczekać, prześnić proces destrukcyjny Rzymu i dopiero potem czynić i działać w imię miłości. Pankracy, dopiero po zniweczeniu i dokonaniu zupełnego procesu destrukcyjnego życia teraźniejszego, widzi, że należy rozpocząć budowę w imię Chrystusa: nie mając tej wiary, kona.

„Nieboska“ i „Irydyon“ noszą piętno tej samej epoki przełomowej w zasadniczym rozwoju poglądów Krasińskiego. Rozwiązanie problemu życia i stosunku jednostki do jego procesu w obu tych utworach jest zarazem rozwiązaniem zagadnień na wskroś przeżytych pełnem uczuciem w psychice Krasińskiego. Wybiera sobie dwa momenty: w „Irydyonie“ cofa się w przeszłość, w epokę dziejową, przypominającą mu całkowicie epokę mu współczesną: „ma się już pod koniec światu starożytnemu“, epoka „konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi“. — i na tem tle każe Irydyonowi działać, obdarzając go nienawiścią do państwa rzymskiego: — w „Nieboskiej“ unosi się w przyszłość, w ową chwilę, w której lud, zdobywszy przewagę nad arystokracyą, rozpocznie z nią walkę niszczenia, burzenia wszystkiego — i na tem znowu tle dezorganizacyi stosunków społecznych każe działać Henrykowi i Pankracemu.

Rozwiązanie zagadnienia jest przemienne. W „Nieboskiej“, skazując na śmierć Pankracego, konającego ze słowami „Galilae, vicisti“, staje na stanowisku norm przeszłości, biorąc je w obronę i opierając się na potędze religii chrześcijańskiej. —

czyli, uważa, że po procesie destrukcyjnym dzieje muszą się powtórzyć, ale już według zasad Chrystusowych, — w „Irydyonie“ rozwiązanie procesu życiowego przenosi w przyszłość, każąc Irydyonowi działać bez wytchnienia z wiarą w skuteczność miłości i pracy.

W obu utworach mamy jedną płaszczyznę wspólną: jest nią wzajemne uwarunkowanie przeszłości przyszłością i odwrotnie, w ten sposób, iż jedna musi się oprzeć o drugą, o ile pragnie się rozwijać w stopniu coraz doskonalszym: znaczy to: dzieje i akt dziejowy, aczkolwiek w szacie innej, powtarzają się; dlatego należy zachować i utrwalać z przeszłości to, co stanowi szkielet jej istoty i rozwoju, inaczej przyszłość będzie się mściła i po powtórnej dezorganizacyi domagała się powrotu i ożywienia momentów minionych. Dla Krasińskiego świat współczesny i świat Irydyona są do siebie podobne: jak należy rozwiązać ich dręczące zagadnienia? Oprzeć się jedynie na zdobyczy Irydyonowej, t. j. na zasadzie miłości: „kochaj ludzi w czynie“.

I jeszcze jedno mimochodem: zagadnienie poezyi i jej stosunek do życia.

Postać Henryka w „Nieboskiej“ z jednej, postać Orcia z drugiej strony. Znowu negacya życia teraźniejszego. Prawdziwe, szczere, natchnienie Orcia, uosobienia czystej poezyi nie ma z życiem dokonywującem się dokoła, nic istotnie wspólnego: jest ślepe. Orcio żyje marzeniem, wysnutem z swej poetycznej duszy i tylko życie psychiczne, indywidualne, przyszłe i przeszłe życie nieziemskie jest mu blizkie i jedyne. Duszę swego ojca i jej los przewiduje tak, jakby przenikał wskróś żywotne momenty realizującego się życia codziennego: świat duszy ma dlań wartość identyczną z wartością życia wogóle, a nadto jest on jedyny: dlatego nie może się ostać wobec momentów życia ziemskiego. Orcio jest zgóry skazany na uschnięcie. Wprowadza go Krasiński jako przeciwstawienie, a zarazem jako dopełnienie i ziszczenie marzeń Henryka.

Wymarzył sobie Henryk syna, wyższego nad wszystkich, — wymarzył go w swem samolubstwie i dumie. Marzenie się iści — lecz w stopniu zbyt nadzwyczajnym. Henryk jako poeta szuka i domaga się od życia czegoś nadzwyczajnego: jego nieustanna gonitwa za ideałem jest ucieczką od życia w świat wyobraźni. Nadużycie wyobraźni doprowadza jego stan uczuciowy do zatraty świadomości i wiary w prawdziwość uczucia doznanego: nie wie, czy czucie jego jest prawdziwe, czy też układa „dramat“. Obrona

faktycznego stanu rzeczy przeciw Pankracemu, to nie obrona istotnego życia i wytworzonych w nim stosunków, lecz obrona życia przezeń wymarzonego, obrona ideału życia, słowem, życia poetycznego, życia wyobraźni, które względem życia rzeczywistego zachowuje się z pełną niewiarą, zwątpieniem, nienawiścią. Jest to obrona jego poezyi i idei, które pragnie widzieć w świecie umierającym, przed procesem żywotnym Pankracego, z tej przyczyny, że jego poezya z tem toczącem się życiem nic wspólnego nie ma, a nawet od niego ucieka.

I znowu ważny moment — i dla psychiki Krasińskiego charakterystyczny. Z obu postaci „Nieboskiej" Henryk jest mu bliższy i sympatyczniejszy od Pankracego. Nadto, w liście do Gaszyńskiego (listopad 1833 r.), Krasiński donosi, że pisał swój utwór na obronę „tego, na co się targa wielu — religii i chwały przeszłości". Dodam: dla Krasińskiego historya i rzeczywistość pozostawała w tym samym stosunku, w jakim była dla Henryka — poezya. „Uważaj — pisze do Gaszyńskiego (17 stycznia 1834), — że historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, poetyczną się staje, to jest, że budżet, interwencya, handel etc. nikną, a zostaje się tylko ich synteza, to jest główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność: i dlatego w końcu historya jest najdoskonalszym najrytmiczniejszym poematem."

Wniosek: życie staje się zwolna harmonijne, bez przeciwieństw i sprzeczności. Poczyna być tem, czem je sobie wymarzy człowiek po trudach i walkach: ciszą i spokojem. Krasiński tęskni za takiem życiem. Nie znajdując go w epoce współczesnej, przenosi je w przeszłość i przyszłość. Skutki takiego stanowiska i ujęcia rzeczy są jasne: dla Krasińskiego teraźniejszość, to nagi fakt procesu życiowego, którego każdy objaw jest widoczny i jako taki da się i należy zanalizować.

Znaczy to: wobec stosunków współczesnych staje Krasiński z całym aparatem analitycznym i nie pomija żadnego szczegółu, który może w nim potwierdzić pesymizm i niechęć do stanu faktycznego dokonywującej się rzeczywistości. Odległość historyczna przedstawia mu dzieje w pewnej perspektywie jako „najrytmiczniejszy poemat", w którym zaciera się rzeczywisty, indywidualny rys jednostek, a występuje ich „synteza", pewna całość, harmonijna, poetyczna, taka, jaką ją pamięć ludzka utrwaliła. W takiej minionej, skostniałej już w swej życiowości epoce obraca się Kra-

siński swobodnie i wybiera z niej to, co odpowiada jego zdobytym pojęciom na drodze do filozoficznego poglądu na świat. Stwarza sobie z dziejów istotnie poemat i jako na taki patrzy. Perspektywa historyczna pozwala mu ująć całość, lecz zaciemnia właściwy proces ówczesnego życia: „Pathos der Distanz“ — oto jakby najlepiej określić stanowisko Krasińskiego

Świadectwem — „Irydyon“. Dwie w nim postacie przemawiają szczególnie: Irydyon i Masynissa. Obie ściśle historycznemi nie są. Ich działanie zastosowane jest tylko do odpowiedniej dla poety epoki. Tak samo mogliby działać w okresie innym, gdyby inna idea przyświecała Krasińskiemu. Stwarza je poeta, skupiając w nich pierwiastki ogólne, — pojęcie, jakie w nim powstawało przy poznawaniu procesu historycznego: obie postacie są symboliczne.

Symbolom każe Krasiński działać. Jako symbole zawierają one cechy dowolne, pojęciowe, ahistoryczne. Walka Irydyona z Rzymem — to walka dwóch symbolów: symbolu życia greckiego, kultury — i życia gwałtu, siły, bezprawia. Co więcej, symbole te są zamienne, można je zastosować w okolicznościach innych, przemienić w symbol dziejów n. p. nowożytnych, analogicznych do faktów historycznych dawniejszych: Irydyon będzie działał na „ziemi mogił i krzyżów“, w Polsce — przeciw nowożytnemu symbolowi gwałtu i bezprawia, Rosyi; rzecz oczywista, że z pewną przemianą: zdoła zwyciężyć po przezwyciężeniu w sobie nienawiści i zła, — symbolu szatana, Masynissę. Masynissę stara się Krasiński przedstawić zupełnie celowo i świadomie symbolicznie, gdy tymczasem Irydyona, Heliogabala, Elsinoe, Kornelię i t. d. ujmuje jako jednostki żywe i czynne same przez się: stara się tym ostatnim nadać postać i życie przynajmniej pozornie historyczne.

Inaczej z Masynissą. To „szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, mający jednak chwile zwycięstwa swoje piekielne, zbrodnicze“ — pisze do Gaszyńskiego (czerwiec 1837 r.). Symboliczność Masynissy ułatwia Krasińskiemu rozwiązanie problemu: na jej podstawie może Irydyon rozpocząć swą pokutę; może przenieść się i działać w Polsce, — myśl, która była istotną w powstawaniu dzieła w psychice Krasińskiego: przystosowanie czynników twórczych wolności do nieskończonego nurtu historyi. Przezwyciężenie nienawiści do ciemięzcy, samobudowa miłości czystej do ojczyzny — jest rozwiązaniem ostatecznem. Należy w sobie Masynissę pokonać, by nie kroczyć drogą jego do celu: boć gdybyśmy go nawet osiągnęli, nie zadowoli nas. Symbol

przeważa ostatecznie: cały epilog „Irydyona“ — to już tylko walka symbolów dobra i zła.

Pomijam tutaj problem tych idei: stanowiłby on ciekawy rozdział „Etyki“ Krasińskiego. Teraz idzie tylko o analizę momentów życia, jako procesu. Widzimy, że dla Krasińskiego życie minione przedstawia się nie historycznie, lecz poetycznie: pozwala je sobie ująć w symbole. W symbole, najbardziej mu odpowiadające, to jest takie, które może śmiało przystosować do stosunków współczesnych; problem tragizmu, rozwiązany zgóry: Masynissa i Irydyon idą ręka w rękę, zło ma na razie przewagę — nie przynosi jednak zadowolenia. Irydyon musi działać w Polsce, znowu w tym samym charakterze: przeciw wrogowi. Gdyby Krasiński przedstawił część dalszą tej walki (dobra ze złem), byłaby z nią zapewne walka Irydyona z Masynissą — w warunkach i okolicznościach podobnych ze względu na idei.

Stanowisko Krasińskiego widoczne: proces życia przedstawia się mu jako wartość pojęciowa, symboliczna. Nie życie go zajmuje, lecz istota tego, co życie stanowi: co się da zamknąć w znakach i symbolach i ująć w całości. Dlatego z taką łatwością przenosi Krasiński cały ten proces z przeszłości w przyszłość, oparłszy się na porównaniu, analogii momentów, symbole te określających. Symbolem jest „Nieboska“, jest nim i „Irydyon“. Zwolna pojęcie życie się rozwija: symboliczność się pogłębia, życie jako proces znajduje swą wartość czynną: jednakże tylko w poezyi: Krasiński poczyna do czynu nawoływać. Czyni to już w „Irydyonie“: hasło: „idź i czyn, byś zmartwychwstał nie ze snu, ale z pracy wieków“, jest epilogiem, a nie rozwiązaniem problemu. Rozwiązanie poda Krasiński później, pogłębiwszy samo zagadnienienie.

Na razie, życie, jego zjawiska i objawy codzienne są dla Krasińskiego utwierdzeniem w ucieczce w świat marzeń. Ponury i posępny obraz teraźniejszości cechuje stale utwory Krasińskiego: analiza faktycznego stanu rzeczy potwierdza w nim pesymizm z jednej strony, z drugiej zaś unosi go w świat inny, myślowy, który logicznie uzasadnia mu lepszą dolę. Odtąd t e n ś w i a t i n n y, który sobie stwarza, zajmuje miejsce świata rzeczywistego i staje się dlań światem istotnym, jedynym, prawdziwym: życie ziemskie natomiast jest tylko przejściem do życia lepszego, — jest jeno s n e m.

Do zagadnienia snu wraca odtąd Krasiński zawsze, ilekroć zajmuje się problemem życia współczesnego, pragnąc określić swój całokształt poglądów na życie w ogólności. Zagadkowość snu, wła-

ściwa romantyzmowi, jest dlań jedną z najciekawszych. Formą snu posługuje się, gdy zwraca swe spojrzenie ku rzeczywistemu życiu — i w tej formie je przedstawia. I w rzeczywistości na toczące się wokół życie nie inaczej patrzy, jeno poprzez formę snu. I nie inaczej je też rozumie, gdy w „Modlitwach" każe się modlić pani Bobrowej: „Za to, że opłakała wszystkie nadzieje i sny swoje. Ty ją wyrwiesz z tego snu ziemskiego i przeniesiesz ją do nieskończonej rzeczywistości."

Jest to jeszcze pojęcie subjektywne: ustala się już jednak linia demarkacyjna między dwoma terminami: życiem na ziemi i życiem zaziemskiem. Pierwsze w swej postaci ogólnej pozostaje ostatecznie tylko snem wobec życia zaziemskiego, które jako rzeczywistość nieskończona przedstawia dla Krasińskiego wartość bezgraniczną. I na tej nieskończoności oprze się później, wysnuwając z niej właściwe zapatrywanie na życie: ona będzie dlań ową *causa prima*, przyczyną sprawczą, z której wszystko wypływa i do której wszystko wraca: w niej też umieści istotę procesu życiowego, swój świat idei, tłumaczących mu wszelkie zjawisko świata prawidłowo, tak a nie inaczej.

Nadewszystko jednak nie należy pominąć wpływu, któremu ulega od czasu poznania Cieszkowskiego. Wpływ dziełka tego ostatniego („Prolegomena zur Historiosophie") rozszerza widnokrąg poety, każe mu się zająć bliżej filozofią niemiecką i usystemizować własne zapatrywania, prawdy i pojęcia. Odtąd kreśli się wyraźnie filozoficzna linia rozwoju Krasińskiego: zapoznaje się z Heglem, Noralisem, Schellingiem, Schleglami, Jean Paulem, przedewszystkiem z Cieszkowskim i Trentowskim. Idealizm zostaje filozoficznie uzasadniony.

Po rozpacznych walkach wewnętrznych z panteizmem niemieckim i sprzecznościami historycznemi, dochodzi zwolna do rozwiązania problemużycia i śmierci: ta ostatnia nie jest niczem innem, jak przedłużeniem i odmianą życia, stopniem do przejścia ze świata ziemskiego do nieba, powrotem do Boga przez nieustanną pracę nad sobą i doskonalenie się wewnętrzne. Prawie-że aksyomatem staje się mniemanie, że wszelka indywidualność ludzka i społeczna musi przejść drogę śmierci, by z tamtej strony grobu stać się cząstką Ducha Bożego, nieskończoną i nieśmiertelną. Jednoczy, względnie usiłuje zharmonizować teoryę filozoficzną z religijną.

Odzwierciedleniem stanu przejściowego z „przepaści zwątpień" do systemu wiar i przekonań, są „Trzy myśli Ligenzy". Istota snu przyobleka się w pewną stałą formę: zawiera się w bezkres-

nym, nie dającym się ująć świecie rzeczywistym i myślowym, stając się obu ogniwem spajającem. Forma ta ułatwia Krasińskiemu ujęcie dwóch odrębnych zupełnie bytów; pozwala mu dowolnie przerzucać się z teraźniejszości w przyszłość lub w świat marzeń. Exemplum „Sen Cezary“ i „Legenda“. Pomijając na razie stronę ideową „Trzech myśli“, należy podkreślić tę ustalającą się formę, którą się Krasiński poczyna konsekwentnie posługiwać: jest nią przedstawienie świata i życia współczesnego i ich przyszłego rozwoju lub losu jako wizyę senną.

Zagadnienie snu i wizyi jest dowodem przewagi pierwiastka ażyciowego w psychice Krasińskiego. Charakter wizyonerski cechuje odtąd stale każdy utwór poety, nadając mu wybitnie specyficzne piętno ażyciowości. Pomijam tu z jednej strony kwestyę wizyi jako jeden z czynników techniki Krasińskiego w tworzeniu, a z drugiej samą analizę tego zjawiska [1]), a przechodzę do problemu istotnego, tyczącego się stosunku pojęć Krasińskiego o życiu do formy snu.

Psychologicznie, należy podkreślić, że wizye i sny są u Krasińskiego faktami rzeczywistymi, jako pewnego rodzaju czynniki, towarzyszące niezmiennie strukturze psychicznej, skłonnej do kontemplacyi, zachwytu i egzaltacyi, jaką jest psychika Krasińskiego, ulegająca owym stanom od choroby oczu z niebywałą szybkością. I na mocy praw psychologicznych można wytłumaczyć sobie ową ucieczkę od życia w świat marzeń, wysnuwanych w wizyach i traktatach filozoficznych. Sen — to świat pośredni, — ogniwo, łączące rzeczywistość ze światem duszy. Krasiński w tym właśnie świecie czuje się sobą, odczuwa istotny proces swego życia. Świat ten staje się dla niego nietylko jedyną prawdziwą rzeczywistością, wobec której nikną zjawiska życia codziennego, jako efemeryczne, nietrwałe i nieprawdziwe, lecz ponadto i nadewszystko ten właśnie świat duszy, objawiający się w snach i wizyach, określa świat ziemski, teraźniejszy, kieruje nim, stanowi jego podstawę bytu, tłumaczy jego kierunek ruchu, przyszłość.

Życie więc jest dla Krasińskiego procesem dwojakim: zewnętrznym i wewnętrznym. Na zewnątrz tak, jak się ono przedstawia w teraźniejszości, właściwie rzeczywistością nie jest: jest tylko poniekąd snem, t. j. znikomem przeżyciem jednostek, które los skupił obok siebie i kazał im tworzyć swoją historyę, dzieje.

---

[1]) Ob. pod tym względem zwięzłą rozprawkę W. Bruchnalskiego p. t. „Wizya Krasińskiego“. Lwów 1913 (Odbitka z „Pam. liter.“).

W tem znaczeniu użyty przez Krasińskiego termin „sen“ należy pojmować dosłownie, a więc jako coś, co od woli jednostki nie zależy, jest jej narzucone przez przeznaczenie w formie wypadkowej działania różnorodnych konstrukcyj myślowych. Dopiero proces wewnętrzny stanowi duszę i jaźń życia, czyli jest procesem rzeczywistym, trwałym i prawdziwym: dowodem jest łączność jego ze światem przeszłości z jednej, a przyszłości z drugiej strony. W tem zaś znaczeniu użyty „sen“ musimy pojmować jako przeciwstawienie fizyologicznie pojętego snu, a więc jako istotna, niezaprzeczona rzeczywistość.

To drugie pojęcie tłumaczy jasno stosunek Krasińskiego do życia: a mianowicie, że z życiem, jako procesem dziejowym, niema on nic wspólnego. Cóż to oznacza i jaka jest konsekwencya takiego pojmowania?

Jest to przemiana wartości. Stanowisko prawie religijne, w każdym razie metafizyczne. Określa ono: z procesu życia, przedstawia wartość to tylko, co się da zamknąć w pewnych kategoryach, co racyonalność umysłu ludzkiego zdoła oznaczyć w granicach, a tem samem określić względem wartości innych. I jeszcze więcej. Trwałą wartość przedstawia tylko istota rzeczy, zmysłami nieuchwytna, duchowi tylko dostępna, domagająca się więc osobliwych dla siebie form objawu. I tą formą objawu jest sen lub wizya, zjawisko tak charakterystyczne twórczości Krasińskiego.

Takowe posługiwanie się wizyi, choć może jeszcze jako jedna z ekspresyj poetyckich, wskazuje finale „Nieboskiej“, t. j. wizya Pankracego, a przedtem „Sen Elżbiety Pileckiej“ i „On“, pomijając utwory mniejsze. Najciekawsze jednak — to „Trzy myśli“.

Przechodzę mimo „Sen Cezary“, jako typowy wyraz wizyi sennej, oraz „Legendę“ wraz z jej rozwiązaniem religijno-historyozoficznem, a zatrzymam się nad podstawowym systemem konstrukcyjnym metafizyki Krasińskiego w „Trzech myślach“, nad „Synem cieniów“. Rzecz jasna, idzie o stosunek do życia.

Droga rozwoju ducha ludzkiego — to droga zdobywania samoświadomości — w walce o doskonałość ostateczną. Tę osiągnie człowiek w chwili, w której pozna, że jest

z Panem nad pany
Duch ten sam, jeden na wieki i wszędzie,
Co jest już teraz — ni był ani będzie!

Owo zrównanie człowieka z Bogiem, jako ostatni cel ewolucyi jego ducha, stanowi zasadniczą podstawę bytu. Póki człowiek widzi różnicę między sobą a Bogiem, póki — jak powiada poetycznie Krasiński — „wołasz na Boga — Ty, Boże!", póty jeszcze rozwój nie skończony i duch ludzki jeszcze „u progów wieczności". Novalisowskie „Gott will Götter" odzywa się silnem echem. I dopiero wtedy, gdy poznamy, że niema różnicy między duchem boskim a ludzkim, osiągnęliśmy wieczność, t. j. poczynamy żyć: do tej zaś chwili — życie nasze to sen, nieświadomy i niežywotny, to marzenie o życiu właściwem, dążność do zrealizowania obrazu wysnuwanego marzenia:

To sen twój miłał, jako fal miliony —
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony,
Boś śnił o falach, co w tobie płynęły:
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł, żeś razem
Potęgą marzeń i marzeń obrazem...

Motyw snu i życia podkreśla i określa Krasiński dokładnie: sen na ziemi, a życie w niebie, jako w krainie wieczności. Rzecz można, iz życie istotne, to dopiero życie w Królestwie Bożem, które jeszcze nie jest, lecz będzie.

Nie jest-że więc życie ziemskie wcale życiem? Krasiński nie przeczy temu, przeciwnie podnosi jego wartość, lecz w porównaniu z życiem zaziemskiem wydaje mu się ono nikłe, nierealne, nieistotne: jest tylko przygotowaniem, stopniem jednym, lecz nie jedynym do osiągnięcia doskonałości Bożej. Wartość jego równoważy się z wartością śmierci i grobu.

Myśl śmierci rozwija Krasiński i uzasadnia w swoim systemie historyozoficznym: na razie czuje jej wartość, skoordynowaną z wartością życia ziemskiego, jako konieczność ducha ludzkiego na drodze jego rozwoju. W związku z tem pojęciem, śmierć jest z jednej strony zakończeniem bytu ziemskiego, z drugiej zaś poczęciem życia nowego, właściwego. W ten sposób juz w „Trzech myslach" tkwi zarodek oceny wartości życia i śmierci: ta ostatnia przedstawia nawet wartość wyższą, bo stanowi ostateczną próbę i walkę przed życiem prawdziwem.

„Za życia więc tu nic innego nie czynim — pisze w liście do Małachowskiego z 7 grudnia 1841 r., — tylko gotujemy sobie samym na później coś Boskiego, punkt jakiś Boski w przestrzeniach, by nam umarłym i nieśmiertelnym było na co spojrzeć i z czego się radować i w czem rozkoszować! by wszędzie

nam niebo było! Lecz właśnie dlatego, że będąc w sobie całością, niczyją inną jedno Boga, Wszechrzeczy, cząstkąśmy, a nie planety tego lub owego, nie do tego punktu skuci lub tamtego. ale wszystkich panami: zatem musim przestać przez śmierć wygrywać rolę cząstki Ludzkości. a zacząć na większej scenie wygrywać naszą prawdziwą istotną: to jest musim. my, nieśmiertelne całości, zacząć po Wszechświecie mieszkać jako cząstki. ale tylko Wszech-Boga!“

List ten może posłużyć za punkt wyjścia w określeniu dokonanego już pozytywnie przełomu w pojęciach metafizycznych Krasińskiego. Jak dotąd, pojęcie życia i śmierci szło u Krasińskiego równolegle z rozwojem pojęć historycznych, względnie społeczno-politycznych, które uzasadniały w nim zwolna i stopniowo program i schemat dokonywującej się budowy systemu filozoficznego. Należy podkreślić ów moment socyologiczny w ewolucyi twórczej polskiego poety-filozofa. Boć jak z jednej strony mocą norm swoich rozszerzał widnokrąg swoich poglądów, uzasadniając je racyonalnie na podstawach szerszych, tak z drugiej strony zdobywane jednak przezeń stanowisko zmuszało go do pewnego — że się wyrażę — negatywnego oporu względem momentów współczesnych które życie społeczno-polityczne z sobą wnosiło, tworząc tak zwaną historyę.

Życie było dotychczas dla Krasińskiego pojęciem prawie-że tylko biologicznem, procesem, kończącym się śmiercią, nicością jednostki indywidualnej lub zbiorowej. I ze względu właśnie na ów koniec życia, nie pozostający w żadnej mierze ze swoim skutkiem. ponieważ wartość życia malała wobec wartości śmierci, po za granicami której rozum wykazywał Krasińskiemu bezskuteczność wysiłków żywotnych jednostek, — pojęcie życia i śmierci było dlań pojęciem, — biorąc je ze strony uczuciowej — nienawistnem, lub co najwyżej obojętnem. Uczucie; względnie uczuciowość i wrażliwość, łamiąca się wewnątrz wskutek klęski, poniesionej w walce z życiem, unosiła Krasińskiego w krainę tęsknoty, w której budował sobie marzenia o życiu. jego celu. rozwoju i kresie w sposób. odpowiadający całkowicie ażyciowej konstrukcyi psychicznej jego organizmu.

Nienawiść do momentów, które życie z sobą przynosi, widoczna jest w „Nieboskiej“, nie brak jej w „Irydyonie“: z nienawiścią ową łączy się tęsknota za śmiercią. jako wybawicielką z tego ogromu zła i nędzy życiowej, tęsknota, o tyle umotywowana, o ile będziemy ją rozważali w związku z wzmiankowanem wyżej nega-

tywnem stanowiskiem wobec dokonywującego się procesu życia w ogólności.

A jednak w chwili, w której stan napięcia osiąga swój szczyt i rozum, przenikając analizą swoją każde włókno zajętej przez poetę pozycyi, poczyna wykazywać bezwartościowość negacyi i ucieczki przed tem, co jest, było i być musi, t. j. przed owem właśnie życiem z jego stronami zarówno dodatniemi, jak i ujemnemi, przełom dokonywa się zwolna, lecz stale w zapatrywaniach na proces bytu jako konieczność, predestynowaną przez fatum, los lub Boga. Przełom ten, to pierwsza próba ujęcia zjawisk w pewien system, aczkolwiek oparta na systemach i światopoglądzie twórców pokrewnych. Historya, jako *magistra vitae,* daje podstawę do wysnuwania prawdy z siebie samej, lecz zarazem do wykuwania praw, życiem pozornie rządzących. Prawa owe, jako prawa (pseudo) historyczne, są tak dobitną cechą charakterystyczną epoki romantycznej, w której żył Krasiński, że rzecz zrozumiała, wpływów swej epoki Krasiński uniknąć nie zdołał i nie chciał. Przeciwnie, ulegając jej wpływom, konstruuje sobie swoją własną budowę dziejów, którym każe się urzeczywistniać z konsekwencyą logiczną w przyszłości.

„Syn cieniów“, to pierwszy zarys pozytywnej konstrukcyi myślowej. Niema w nim zaprzeczenia wartości zjawisk życiowych, ani potwierdzenia nadwartości śmierci; niema w nim też niedomówienia z „Nieboskiej“, lub przeskoku historycznego Irydyona. Jest natomiast pierwszy, wielki i konsekwentny wysiłek przesunięcia wartości z zasad powierzchownych historyi i życia jednostek w głąb istoty rzeczy, trwałej i niezmiennej. Życie i śmierć na ziemi, będące dlań dotąd treścią jego negacyi, tracą zupełnie wartość wobec o g r o m u z a ś w i a t o w o ś c i, w której dopiero się życie istotne poczyna. Boć czem jest znikomość i krótkotrwałość bytu na ziemi wobec wieczności bytu zaziemskiego? w czem tkwi wartość bytu pierwszego, który jest chwilowy i zmienny i ulega raz po raz wypadkowym sił się zderzających, skoro byt i świat ducha nadaje dopiero wartość rzeczom i istotom?

Oparcie się na zasadach wieczystych, trwałych i niezmiennych, stanowiących nietylko podstawę życia rzeczywistego, t. j. zaświatowego, zmysłom niedostępnego, lecz i podstawę dziejów ducha ludzkiego i jego historyi ziemskiej — stanowi właściwe jądro metafizyki Krasińskiego. Pomijam stanowczy wpływ chrystyanizmu oraz filozofii współczesnej na ukształtowanie się metafizyki Krasińskiego; idzie mi tylko o wydobycie i podkreślenie owego przełomu, który dokonał się u Krasińskiego w sposób po-

zornie niewidoczny, a jednak zasadniczy. Życia zaprzeczać Krasinski nie ustaje, jednakże zaprzeczenie owo tyczy się zawsze życia mu współczesnego, t. j. owego dokonywującego się procesu życia, a nigdy mającego się dopiero dokonać w przyszłości. Przyszłość bowiem przedstawia się mu jako złagodzenie i zniwelowanie pierwiastków złych życia, a pojawienie się dobrych, — jednem słowem, przyszłość życia istotnego — to epoka Królestwa Bożego na ziemi.

Nie trudno spostrzedz, jak wielką przewagę w poglądzie na życie ma u Krasińskiego podstawa etyczna. Podobnie i rozwiązanie problemów opiera się na religijno-moralnej zasadzie. Pesymistyczne odnoszenie się do życia i świata, jako do źródła i podstawy zła, ma swe oparcie na etyce religijnej. Krasiński etyki tej nie zaprzecza, jeno ją rozwija indywidualnie, opierając się na dogmatach Kościoła. To znaczy, że w budowie swego systemu spostrzega pokrewieństwo między poglądem Kościoła a wykuwanem przez się zapatrywaniem na życie.

W zgodzie z zasadami katolickiemi, którą to zgodność w całej pełni odkrywała uczuciem brana negacya życia jako procesu w teraźniejszości się dokonywującego, powstaje światopogląd Krasinskiego. Przeniesienie wartości ze świata ziemskiego w zaświatowość, akcentowanie rzeczywistości jedynej i istotnej po za ziemią, w symbolicznem niebie i opieranie się na niem, jako na czynniku umoralniającym życie jednostek i ludów, — tę właśnie istotę chrystyanizmu przyjmuje Krasiński i wchłania bezwzględnie w swój system. Stwarza sobie pogląd, który można określić terminem dzisiejszej nauki, filozofią religii, — lub też ze strony dziejowości biorąc, terminem codziennym w epoce Krasińskiego, historyozofią.

Ewolucya myśli i zapatrywań Krasińskiego na życie tem samem dokonała się; ustala się w nim teraz tylko poszczególny moment misternie wykończanego systemu, który — jak wierzy na podobieństwo mistyków oraz mesyanistów-teozofów — musi się urzeczywistnić w niedalekiej przyszłości. Nietylko wierzy. Wiarę swoją uzasadnia logicznie, względnie logicznie wysnuwa. Daje społeczeństwu swojemu nową rękojmię i podstawę do prawdziwości głoszonych przez mesyanizm haseł, podstawę racyonalną.

Sprawdzianem, a raczej założeniem staje się dlań analogia dziejowo-religijna. O tem, że dzieje ludzkości są dla każdego umysłu konstrukcyjnego istną ponętą badań i rozważań, oraz źródłem tworzenia pewników i dogmatów, — wątpić nie można. Jak również

bezsprzecznem jest to, że religia ze swymi imperatywami i dogmatami jest pewnego rodzaju celem dla umysłu filozofa, pragnącego system swój oprzeć na zasadach pewnych i niezmiennych i na podobieństwo religii utrwalić go w sumieniu ludzkiem, jako w czynniku motorycznym życia i działania. Exemplum epoka romantyzmu polskiego. Ulega jej procesowi także Krasiński.

Proces życia przedstawia się mu z punktu dziejowego jako świat nieskończony, w którym powtarzają się w pewnych okresach momenty podobne, jednakże w granicach potężniejszych, w rozmiarach większych. Nadewszystko zaś w świecie tym niema śmierci. „Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny“ — staje się prawie aksyomatem. Istnieje tylko w tym świecie t. zw. próba grobu, której się doświadcza w epoce upadku; jest to epoka walki o zdobycie w sobie hartu i mocy, o zniweczenie pierwiastków złych i wyzwolenie na drodze ku dobru. Odżycie takowe wnosi z sobą moc charakteru i cnoty, wykształca potęgę dobra i piękno życia, powiększa własną wartość narodu. To z jednej strony: życie zbiorowe narodów. Z drugiej zaś życie indywidualne jednostek jest również procesem nieskończonym; ich śmierć na ziemi — to tylko przejście w życie pozaziemskie, w sferę duchów, w postaciach których działają i wpływają na losy ziemi.

Jeżeli więc życie przedstawia proces nieskończony, dzieje tego życia powinne służyć umysłowi ludzkiemu za skarbnicę i przykład w samokształceniu woli życia, oraz za moment trwały i podstawę w wysnuwaniu momentów i zjawisk dalszych, przyszłych. Otóż z dziejów ludzkości i z zasad religijnych, z ich harmonii stwarza Krasiński pewniki swej filozofii. Jest ich trzy: pierwszy, że śmierć jest koniecznym warunkiem życia prawdziwego i wyższego; za przykład służy śmierć Chrystusa, która musiała poprzedzić zmartwychwstanie i wniebowstąpienie; drugi, że życie Chrystusa stanowi wzór w kształtowaniu się dziejów ludzkości, która musi powtórzyć w granicach szerszych życie Chrystusowe; trzeci wkońcu, że życie ludzkości dąży do harmonii z wolą Bożą, czyli że celem jej dążeń jest urzeczywistnienie Królestwa Bożego na ziemi.

Rozwinięciem filozoficznem jest „Traktat o Trójcy“, poetycznem „Przedświt“. Stosunek do śmierci i życia wyjaśniony zupełnie, problem rozwiązany. Istota procesu życiowego przeniesiona z żywota ziemskiego w żywot wieczny, w świat Ducha. Życie na ziemi przedstawia tylko wartość jednego z nieskończonych stopni doskonalenia się jednostki w pracy nad stworzeniem w przyszłości „wiecznego nieba w niebie“. Śmierć zaś —

to konieczny moment wyzwolin z namiętności ciała i wzlotu „coraz dalej ku Panu, ku górze".

I z zagadnienia życia i śmierci, przedstawionego w całej swej rozciągłości jako zagadnienie metafizyki bytu, Krasiński wysnuwa i rozwiązuje problem człowieka i narodu.

Dr. Stanisław Peliński.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencya Karola Szajnochy z Karolem Wildem.

(W 100 rocznicę urodzin, a 50-tą śmierci znakomitego historyka).

(Ciąg dalszy.)

XXXVI.

Lwów, 13 marca 1865.

Kochany Karolu! Nasza druga połowa szkicu w III. ich tomie „Jan Sobieski banitą i pielgrzymem", trzyma się mocniej, niż sam mniemałem.

Trzecia cyfra roku w nadpisie listu do króla zawsze wątpliwa. Jedynym stanowczo i odrazu za ósemką oświadczającym się znawcą pism starych, jest uczony Jan Wagilewicz. Dawny przyjaciel Wagilewicza i często z jego światłej pomocy korzystający, August Bielowski, przyjął z początku szóstkę, lecz po naradzie z Wagilewiczem zgodził się na ósemkę. Zresztą prawie wszyscy z uczonych przyjaciół moich wyczytywali z upewnieniem zupełnem szóstkę. Godebski, który już w Paryżu pracował nad rękopisami, a w Zakładzie nar. im. Ossolińskich z obowiązku, przeszło tysiąc listów rodziny Mniszchów i innych w latach Sobieskiego i Augustów odczytał, — Krajewski, który przez kilka lat w aktach złoczowskich i innych okolicznych miasteczek szperał i niezmiernie wielu w nich naczytał się dat listowych, zapisowych, testamentowych, — obaj najgorliwiej stali przy szóstce.

Władysław Zawadzki, umyślnie do Zakładu nar. im. Ossolinskich udawszy się dla odczytania wątpliwej cyfry, wrócił ze stałem przekonaniem o szóstce. Przy takiej przewadze szóstki nad ósemką w wątpliwym roku nie dziw, że rok 1667, podający marszałkiem w. koronnym Sobieskiego, odsłania bezprzykładną zgodność losów Sobieskiego od r. 1652 do 1667 z szczegółami listu w przeciągu tych samych lat, — rok zaś 1687 przedstawia w swoim marszałku w. kor. Lubomirskim postać historyczną bez żadnego znaczenia, nie wskazującą w swojem próżnem wszelkich czynów i zdarzeń życiu, żadnego rysu, żadnego szczegółu o pielgrzymce do Rzymu.

Należy w tej mierze bacznie wziąć na uwagę, iż Sobieski w przedchwili śmierci zmarłego właśnie w pierwszych dniach roku 1667 hetmana wielkiego kor. Stanisława Rewery Potockiego, jedynym hetmanem będąc w Koronie, musiał swoją drogę rzymską najstaranniej taić oczom szpiegów tatarskich i tureckich, a w dalszych latach wielkiemi zwycięstwami u Podhajec i pod Chocimem, wreszcie swojem wstąpieniem na tron w roku następnym, zgasił wszelką pamięć o drodze rzymskiej w r. 1667.

Przeciwnie, marszałek w. kor. Lubomirski w swojem, jak powiedziano, bezczynnem życiu byłby taką pielgrzymką wielki uczynił rozgłos, upamiętnił ją w licznych jako o wielkim panu wspomnieniach biograficznych, panegirykach, po śmierci o nim skreślonych. Tymczasem w żadnem z tych wspomnień, w żadnem z dzieł, mówiących szerzej o Lubomirskim, w pełnych wiadomości z Rzymu w tej porze lat od wyprawy wiedeńskiej w r. 1683 do r. 1687, Listach historyczno-poufnych Jana Chr. Załuskiego, w szerokim opisie życie życia marszałka w. kor. Lubomirskiego, w nieopuszczającej nigdy tak pobożnego i ważnego czynu, jak pielgrzymka do Rzymu Koronie Polskiej X. Niesieckiego, nawet w obfitszym w opisy takich czynów pobożnych od Niesieckiego panegiryku, wydanym na cześć zmarłego w r. 1702 marszałka w. kor. Lubomirskiego, słowem nigdzie a nigdzie jakiegokolwiek podobieństwa do podjętej przezeń pielgrzymki.

Ten brak wszelkich o niej doniesień, a przeciwnie tyle uderzających wskazówek, podjętej drogi rzymskiej przez Sobieskiego w liście do króla, w połączeniu z niepewnością wahającej się w jego nadpisie daty między rokiem 1667 a 1687, odejmuje wszelkie prawdopodobieństwa pielgrzymce do progów apostolskich marszałka w. kor. Lubomirskiego. Nie stwierdza jej wskazany w Źródłach do dziejów polskich Fr. K. Nowakowskiego w drugim tomie

na str. 323 rok 1687 w nadpisie listu. gdyż i w liczbie roku Źródeł Nowakowskiego mógł mieć rękopis listu również plączącą się szóstkę z ósemką.

W takiej mnogości świadectw na korzyść Sobieskiego w liście do króla. większością głosów szóstkę w 3-ciej cyfrze roku mającym, jedyny szczegół, dwa przemówienia marszałka w. kor. do króla w liście wątpliwej daty, nie mogły chwilowem zdaniem mojem mieć żadnego zastosowania do Jana Kazimierza. przeznaczone owszem były królowi Janowi III. Sobieskiemu, a opiewające, jak następuje: „Dla konsyderacyi samej usługi W. K. M. na przeszłych sejmach, na których wisiała sława wielkiego imienia W. K. M. i dobra pospolitego, o których niejedne wieki długo mówić będą.“ — Drugi ustęp ma brzmienie następujące: „Wszakże i tam (w Rzymie), jeśli gdzie modły moje będą, wylewać onych nie przestanę za konserwacyą wielkiego imienia osoby i szczęśliwego panowania W. K. M.“ — Gdy dwóch moich przyjaciół, upoważnionych do sądzenia o tych ustępach, Krajewski i Zawadzki, w dwóch różnych dniach, odczytali w mojej obecności z osobna, nie wiedząc o zdaniach swoich, te dwa pochlebiające któremuś z królów ustępy, zaczęli obaj czynić mi przedstawienia, iż te pochlebstwa nie mogą być jedynym, są owszem żadnym dowodem autentyczności listu Lubomirskiego z r. 1687, że owszem obyczajem było pochlebiać w ten sposób każdemu królowi owego czasu.

Był to bowiem czas najwyższego wyrafinowania obyczajów dworskich po wszystkich dworach, zwłaszcza słynnym z tego względu francuskim, za rozkochanego w pochlebstwach i najniższem płaszczeniu się Ludwika XIV., skąd to niegodne dworactwo udzieliło się w części domowi i pożyciu córki i zięcia francuskiej królowej polskiej Maryi Ludwiki, jak szydercy polscy nazywali francuską ulubienicę swej królowej polskiej Maryą Kazimirę de la Grange i jej od niedawna małżonka Sobieskiego.

Mógł więc, co więcej musiał, każdy ślepo królowi Janowi Kazimierzowi oddany dworak, jak marszałek w. kor. Sobieski, użyć takich samych pochlebstw do króla, jak owe schlebiające mu dwa przemówienia w liście do niego, z których drugie było wcale zwyczajnem przyrzeczeniem pobożnem „wylewania modłów za konserwacyą wielkiego imienia, osoby i szczęśliwego panowania W. K. M.“. Najczęściej kadzono królowi takiemi pochlebstwami, gdy służalczy dworak dostąpił już i spodziewał się jeszcze znacznych darów dostojności od króla, w jakiem właśnie położeniu ujrzał się tymi czasy Sobieski.

Dla usłużnego wyrwania króla Jana Kazimierza z kłopotu znalezienia kogoś do oburzającego cały naród przyjęcia wydartych Jerzemu Lubomirskiemu dwóch najwyższych dostojeństw, laski wielkiej i buławy polnej kor., ofiarował Jan Sobieski przeciw gniewowi całej szlachty przyjęcia tych obu darów łaski królewskiej. Uczynił to zaś w tym ambitnym zamiarze, aby po śmiertelnie chorym, a już w porze wyjazdu Sobieskiego do Rzymu zmarłym hetmanie w. kor. Stanisławie Potockim, uprosić u króla bliskiej osierocenia buławy wielkiej kor.

W takiem wdzięczności dla króla i oczekiwania od niego najwyższych łask usposobieniu, czemby nie mógł wówczas ozwać się do króla ustnie lub pismem taki zfrancuziały przez żonę dworak, prześladowany oszczerstwami przez całą szlachtę za swoją gotowość uczynienia dla dworu wszystkiego, czego zażąda, karcony takiemi zjadliwemi rymami, jakie pewien mszczący się na Sobieskim jurgieltnik Lubomirskiego miota na krzywdziciela swojego pana, w skreślonej przez siebie satyrze na senatorów z r. 1665.

Porównywa on w niej Sobieskiego z młodym dworzaninem Tyberyuszowym Kaligulą, który tylko ciągłem pochlebianiem swojemu panu, taką łaskę zjednał sobie u niego, iż w kolejnem mordowaniu dworzan cesarskich, pozostawił go tyran przy życiu: „Ot i ten Kaligula w pludrach rękę trzyma“. Tak jawną zaś zdolnością Sobieskiego do skreślenia owych dwóch schlebiających królowi Janowi Kazimierzowi ustępów upada ostatnie prawdopodobieństwo pielgrzymki marszałka w. kor. w roku 1687, a pewna inna przyczyna czyni ten upadek tem niewątpliwszym.

Jan Sobieski w nieszczęściu Jerzego Lubomirskiego i całej jego rodziny zadał jeden z najdotkliwszych obojgu ciosów, pożądanem królowi, lecz w najwyższym stopniu wstrętnem wszystkiemu narodowi szlacheckiemu przyjęciem po Lubomirskim obu łupów dostojnościowych.

Marszałek w. kor. Stanisław Lubomirski był jednym z synów Jerzego, a lubo Sobieski, zostawszy królem, mniemał dostatecznem wynagrodzeniem nadanie Stanisławowi Lubomirskiemu piastowanej przez ojca przed Janem III. laski w. kor., było to zawsze bolesnem dla syna ukojeniem dawnej urazy, które nie usposabiało go wcale do tak pochlebiających Sobieskiemu ustępów w liście.

Gdy więc wszystko w nim przemawia za marszałkiem w. kor. Sobieskim, nie za marszałkiem w. kor. Lubomirskim, niedorzecznością byłoby dawać marszałkowi w. kor. Lubomirskiemu pierwszeństwo przed marszałkiem w. kor. Sobieskim. Dlatego nie widzę

potrzeby wyrzucania niewinnej drugiej połowy szkicu o pielgrzymstwie Jana Sobieskiego. i należy zostawić ją w swojem dawnem miejscu i kształcie, a wydatek na drzeworyt wspólnie poniesmy.

Karol Szajnocha.

XXXVII.

Lwów, 14 marca 1865.

Kochany Karolu! Co ja dnia wczorajszego zapomniałem w moim dopisku, o czem Ty wszakże daleko lepiej odemnie wiesz. to dziś dla formalności dodaję. Ponieważ Gebethner nie odemnie. lecz od Ciebie kupuje, Ty więc jako sprzedawca na moją rzecz masz prawo podzielenia się ze mną rabatem, który Gebethnerowską nadsełkę należytości do wcale skromnego dla mnie *quantum* przywodzi. Dlatego jeśli Gebethner płaci gotówką, jak o tem miałem wiadomość, tem mniej więc mógłbym odstąpić w tym razie od mojej z Tobą ugody niedawania dalszych egzemplarzów przed uiszczoną za pierwsze należytością. Donieś mi więc, co postanowisz. abym na wypadek nie wzięcia odemnie exemplarzów za gotowe pieniądze, mógł Gebethnera oświecić. iż nie z mojej winy niedochodzą go exemplarze.

Odsełam Ci z podziękowaniem 28 zeszytów Encyklopedyi warszawskiej, w której niestety średnie w abecadle litery, jak zwłaszcza *K*, daleko mniej w obszerniej i poprawniej skreślone artykuły historyczne obfitują, niż pierwsze głoski.

Twój jak zawsze życzliwy Ci

Karol Szajnocha.

XXXVIII.

W miejscu, dnia 15 marca 1865.

Kochany Karolu! Przepraszam za onegdajszy dopisek. a wczorajszy dodatek do dopisku. Nigdy w mojem życiu nie byłem ofiarą takiego obałamucenia. jak w tych dwóch dniach. Onegdaj zażądano odemnie 100 exemplarzów „Dwóch lat“ dla Gebethnera za gotowe pieniądze. powtarzając to najwyraźniej trzy razy. Wczoraj następuje sprostowanie tej rzeczy, jakoby źle przezemnie zrozumianej, iż to p. Wild żąda mieć 100 exemplarzy, p. Gebethner tylko 20, „lecz my w dodatku nadeślemy mu jeszcze 5 dalszych“. Umiem znośnie po polsku. znam też różnicę liczb, zresztą głuchym nie

jestem, o oznajmionej wszakże dnia wczorajszego setce dla p. Wilda, dwudziestce dla Gebethnera i zamierzonej mu w dodatku piątce, Bogiem się świadczę, nic a nic nie słyszałem onegdaj, zawsze tylko o żądaniu p. Gebethnera stu exemplarzów za gotowe pieniądze.

Nie mogę pojąć przyczyny takiej mistyfikacyi, i pragnąłbym jak najprędzej wybić ją sobie z pamięci. I ty stary mój druhu pragnij tegoż samego i dokaż, a wichrowate głowy nie zdołają zamieszać naszej zgody i miłości braterskiej.

Twój po dawnemu życzliwy Ci

Karol Szajnocha.

XXXIX.

12 kwietnia 1865.

Kochany Karolu! Jeśli owa z Berlina czy z Wrocławia zapisana Księga, której autora z przyczyny zatrącenia się listu Jarochowskiego nie przypominam sobie, która jednak zawiera ważny zbiór aktów i dokumentów do lat 1646, a podobnoś i do 1648 — owoż jeśli to dzieło nie dojdzie Księgarni Twojej do Wielkiejnocy, tedy zgłoszę się sam do nakładcy o nadesłanie go pocztą.

Nagromadziło mi się tyle materyałów do IV. tomu Szkiców, iż chcę wydać ten tom, same rzeczy nowe, nieznane. Radziejowscy w różnem acz prawdziwszem świetle występują; o Sicinskim powiodło mi się kilka wcale nowych wskazać szczegółów, jego kalwinizm, użycie go przez Janusza Radziwiłła za narzędzie do zerwania sejmu, wreszcie, iż w własnych listach, dokumentach nazywa się Syciński, nie jak zawsze Siciński, których wiele jest rodzin, Sycińskich tylko jedna.

Jak Ruś polszczała, bardzo zajmujący i wiele wyświecający artykuł ku chwale artykułu Donna Rozanda, napisał Adam Gorczyński kilkukartkowy wiersz; kończą tom Trzy rozbiory krytyczne i ustalenie prawdziwości Pielgrzymki do Rzymu Jana III., do której ważny przybył mi dowód.

Starzejący się wiek wytrąla mi z pamięci najwiadomsze nazwiska; wymień mi nazwisko najznakomitszego księgarza w Wrocławiu. Starość też dała mi zapomnieć o najważniejszym przedmiocie tego listu, t. j. prośbę oświadczenia mi z Twojej strony,

czy chcesz się podjąć wydania IV. tomu Szkiców, za gotówkę, inaczej zgłosiłbym się do Gebethnera.

Twój zawsze życzliwy Ci kochany Karolu

K. Szajnocha.

XL.

Dziś.

Zapytuję Cię kochany Karolu, czy Zbiór aktów i dokumentów, wydanych nakładem Towarzystwa wileńskiego archeologicznego przez Eustachego hr. Tyszkiewicza, jest w ręku Szujskiego, czy jakie inne dzieło?

Bóg z Tobą kochany Karolu

Twój *Karol Sz.*

XLI.

Dnia 20 kwietnia 1865.

Kochany Karolu! Każ według załączonego tu biletu wizytowego, co do formatu i wycisku równych, dla mnie takich samych 120 z żałobną obwódką, zaś dla mnie tego samego formatu, lecz bez żałobnych obwódek i napisowych, nie drukowanych, lecz litograficznych drugich 100: dla żony również 100 tym samym kształtem, jak moja setka. Czemuż przeznaczone dla Katolickiego Storie Fiorentine Macchiavellego tak długo nie nadchodzą, lubo oczywiście nie do Włoch po nie posełać trzeba.

Również i Twój polecony mi bankier odeski od dwóch miesięcy nie odpisał ani na mój list, ani co się stało z dwoma do jego listu załączonemi listami do Karola Kaczkowskiego i dwóch exekutorów zapisu Michała Konarskiego. Nadeślij mi też ani za wielki, ani za mały Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski.

Bóg z Tobą kochany mój Karolu

Karol Sz.

(Dopisek żony):

Chociaż to się nie zgadza z wolą mego męża, jednakowoż prosiłabym, aby się te bilety b a r d z o d ł u g o robiły.

XLII.

Lwów, 10 października 1866.

Kochany Karolu! Utrapienie kilku naraz dolegliwości nie pozwala mi porozumieć się z Tobą osobiście w ważnej dla mnie sprawie. A że chora góra nie może udać się do Mahometa, tedy

zdrowszy Mahomet będzie może tak dobrym, że odwiedzi cierpiącą górę

W nadziei rychłego usłyszenia Cię (nie oglądania) kończę zapewnieniem prawdziwego szacunku i przyjaźni.

Twój *Karol Szajnocha*

XLIII.

Lwów, 7 listopada 1866.

Kochany Karolu! Oczekując daremnie zapowiedzianej przez Ciebie nadsełki pieniężnej, domyślam się, że żądanie moje sprawia Ci niemało kłopotu, gdyż wątpię, abyś o przyrzeczeniu zapomniał. Aby więc obu stronom zadosyć uczynić, nie widzę innego sposobu, jak prosić Cię o uwolnienie mię na ten raz jeden z umowy niesprzedawania komu innemu moich „Dwóch lat" tylko Tobie.

Pozwól mi więc udać się z propozycyą, do którego z innych księgarzy o zrobienie ugody na kilkadziesiąt exemplarzy. Bez udzielenia Ci tej wiadomości żadnych pierwszych kroków nie przedsięwezmę, dlatego chciej mię niezwłocznie uwiadomić o Twojem postanowieniu.

W złej czy dobrej doli żegna Cię po dawnemu przyjaźnią i szacunkiem

Twój *Karol Szajnocha.*

XLIV.

Piątek.

Kochany Karolu! Cud stał się z moim lektorem. Za powrotem do mnie po Twojem wyjściu zaczął mi czytać, i cud! powtarzam, czytał mi płynnie, wyraźnie, z zachowaniem przestanków, słowem, jak się należy. Gdy odszedł, a zapytałem żony, jak się udało pisanie w czasie Twego pobytu, odpowiedziała, że pismo dobre, czytelne i może mi służyć do wszelkich odpisów i wyciągów. Dlatego niesłusznie byłoby oddalać go bez przyczyny i proszę Cię o zaniechanie starań u p. Baranowskiego.

Przepraszając za porywcze postanowienie, piszę się jak zawsze najżyczliwszym Tobie i całej rodzinie

Karol Szajnocha.

XLV.

Jeźli Szanowna Księgarnia Pana K. Wilda ma już zezwolenie wydawania exemplarzów Przeglądu, tedy proszę o nadesłanie mi całej reszty 45. Jeżeliby zaś nie upłynął jeszcze termin cenzury, prosiłbym o trzy przynajmniej, a nawet choćby o jeden.

Proszę też Pana K. Wilda, aby zwrócił mi przesłany do zastąpienia „Pielgrzymstwie Jana III.“ artykułu, drukowany „Jak Ruś polszczała“.

Odsełając numera 13.474 i 13.475 Historyi Rudawskiego, proszę o numera 4.272 i 73 Podgórski: Pomniki.

Karol Szajnocha.

XLVI.

(List żony).

Lwów, 4 stycznia 1867.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

W sobotę byłem w Księgarni u Wielmożnego Pana Dobrodzieja, ale powiedziano mi, że Pan Dobrodziej ma tyle zajęcia, że trudno go zastać, dlatego udaję się listownie z interesem bratowej mojej do Wielmożnego Pana Dobrodzieja. Bratowa moja, odjeżdżając, poleciła mi, gdyby to pomieszkanie, które ona wynajmuje, było do najęcia, żeby się do Pana Dobrodzieja, że Pan Dobrodziej był łaskaw obiecał, zająć się wyborem lokatora, a że to pomieszkanie od 15-go stycznia jest do najęcia, dlatego stosuję się do jej woli.

Muszę Pana Dobrodzieja uwiadomić, że pierwej odnajmywało się tylko dwa pokoje umeblowane, a teraz dołączona jest kuchnia, piwnica i strych, a tym sposobem mogłaby jakaś rodzina mieszkać.

Sługa unifony

Paulina Szajnocha.

XLVII.

2 kwietnia 1868.

Przesełając Panu ostatni artykuł Szkiców, pozwalam sobie zapytać, co się dzieje z łaskawie przyobiecaną mi kwerendą krakowską, — a Władzio korzysta ze sposobności i po dawnemu, do czytelni z prośbą o nowy zapas książek udaje się.

Z prawdziwem poważaniem

K. Szajnocha.

Listy do Augusta Bielowskiego.

I.

Korczyn, 15 sierpnia 1859.

Kochany Auguście! Wczoraj otrzymałem Twój list, a dziś śpiesze z jaką taką odpowiedzią, aby Cię jeszcze zastała w Marienbadzie. Bazgrząc na mojej tablicy, nie mogę pisać tak szeroko i swobodnie, jak Ty. Nie miałbym też i o czem, nie chcąc pisać *de rebus litterariis*, a nie bawiąc w tak dalekich stronach i nie spotykając tak znamienitych osób, ja te, na które Ty patrzysz i z któremi zajadasz jajecznice, — nie mówiąc już o przygodach na drogach żelaznych i szutrowanych, któremi Ciebie Opatrzność nawiedza w tej podróży.

My zawsze jednym i tym samym trybem siedzimy w naszym Korczynie i siedzieć tu będziemy aż do połowy września, t. j. zapewne dłużej, niż Ty w Marienbadzie. W hotelu nie byliśmy od Waszego wyjazdu. Z małą różnicą to samo tam życie i towarzystwo co dawniej. Póki lato i pogoda, nieźle nawet w hotelu, — a o pierwszych słotach jesiennych tem milej wracać będzie do Lwowa, im mniej towarzyskich przyjemności znalazło się w Korczynie.

Ty powracając przez Pragę, czy nie trafisz na dogodną porę do zwidzenia Biblioteki uniwersyteckiej (?) i oglądania owego Codeax Copiarium Premisleum, — o którym wzmiankuje Petzel w przedmowie do Lebensgeschichte K. Wentzels?

Obok mnostwa dokumentów Jagiełły, czy niema jakich dawniejszych?

W Marienbadzie chciej przypomnieć mnie P. Kusztelanowi. Mógłbyś mu też zrobić uwagę, iżby powinien nadesłać dyplom Wolfskronowi zu Hedwigslegende. Tym sposobem złożyłoby Towarzystwo świadectwo, że Polacy tę w Polsce spisaną i malowaną legende poczytują za własność i cenią podjęte koło niej prace.

W Krakowie pozdrów Lucyana i dowiedz się też, co o autorze bardzo rozsądnie napisanego artykułu historycz. Negocyacye między Polską a Szwecyą 1651—1653 w Dodatku do „Czasu“ z r. 1857. Co zacz ten pan Kamienski, czy nie pisze co więcej, albo nie pisał?

Zaczem Bóg z Tobą kochany Bracie — do szczęśliwego wrychle zobaczenia się. Moja żona najpiękniejsze zasyła Ci ukłony i żałuje, że brak czasu nie pozwala jej zastąpić mnie w pisaniu.

Twój *Karol Szajnocha.*

Kalinka: Listy o Krakowie pani Węgierska Kamińska, córka pułk. Kam., co tłumaczyła Tassa.

II.

Korczyn, 28 sierpnia 1859.

Kochany Auguście! Bardzo się ucieszymy, że nasze namowy do podróży marienbadzkiej okazują się tak słusznemi, jeżeli się masz znacznie lepiej. A kiedy Dyrektor zdrowszy, toć i Zakład na tem nie stracił. Byle nam pogoda dalej służyła, siedzimy jak najdłużej w naszych dwóch kończynach nie świata, ale przynajmniej Monarchii austryackiej.

W naszej ustroni korczyńskiej już strasznie pusto — ledwie dwie partye oprócz nas zostały, — a i te partye muszą prawie pod zamknięciem siedzieć w domu, bo od dni kilkunastu spadła na nas plaga psów wściekłych. Jednego, gwałtem do naszej kuchni wdzierającego się, ubito kołami, ryskalami i t. p. pod naszemi oknami.

Pokąsanych od niego dwóch psów domowych — po kilkudniowej próbie leczenia przez gospodynię, a ciągłych protestacyach ze strony gospodarza i mojej, — ubiła władza obwodowa ze Skolego, delegowana *ad hoc* do Korczyna, przybrawszy sobie do pomocy domowego parobka, Kościa, który jeden z całej komisyi umie strzelać. Od tego czasu słychać raz po raz urzędowe strzały po wszystkich stronach Korczyna, — ale psy nic sobie z tego nie robią — i zaledwie jeden z kilkunastu strzałów utrąci któremuś nogę lub ogon. Toż prawdę powiedziawszy, szkodzą te strzały tylko nam samym, bo nas utrzymują w ciągłej excytacyi obawy, — a psy wściekłe czy nie wściekłe chodzą sobie bezpiecznie, jak chodziły.

Trzeba się uciekać do autonomii i po najniewinniejszym interesie wychodząc, uzbrajać się w kostur do obrony. Szczęśliwy jeszcze, kto ma dobre oczy, — ale ja, nawpół ślepy, ani kosturem się nie obronię.

Również cierpiącego Wolfskrona nie mogę podawać sam na członka, ponieważ już dawniej pisałem o tem nawiasowo do Łepkowskiego, który tę sprawę poruczył Rogowskiemu czy Załuskiemu. Oni więc zapewne uczynią wniosek, — a ja wzmianką moją chciałem jedynie tem przyjaźniej usposobić Prezesa.

Jeśli jeszcze jest w Marienbadzie, nowy mu pokłon — jak i wszystkim znajomym.

Bóg z Tobą kochany Auguście

Twój *Karol Szajnocha.*

Od żony mojej najpiękniejsze ukłony.

STANISŁAW WASYLEWSKI.

(Dokończenie nastąpi).

Problem myślenia bez słów.

Problem myślenia bez słów, który tu zamierzam poddać krótkiemu rozbiorowi, już w starożytności zajmował uczonych; nowe punkty widzenia, nowe metody i wyniki zawdzięczamy jednak dopiero badaniom, dokonanym w kilku lub kilkunastu ostatnich latach. Stanowisko Platona διάνοια καὶ λόγος ταὐτόν, panujące do dnia dzisiejszego w kołach sensualistycznych, podają w wątpliwość ci filozofowie i psychologowie, którzy mając swego protoplastę w Berkeleyu, radziby między myśleniem a mową utworzyć przepaść, przypisać słowom tylko drugorzędny udział w myśleniu i przyjąć, że myślenie może się zupełnie obywać bez słów [1]). Teoretyczne rozważania *pro* i *contra* nie doprowadziły do zgodnych wyników i rzeczywiście do nich doprowadzić nie mogły, gdyż cały problem opiera się na kwestyi faktu, czy istnieje zupełnie bezsłowne myślenie i kiedy z takiem myśleniem mamy do czynienia.

Zanim jednak przejdziemy do omawiania faktów bezsłownego myślenia, musimy pokrótce dla celów oryentacyjnych określić, co rozumiemy przez myślenie, a co przez słowo.

---

[1]) Pogląd Platona wyraził w nowszych czasach w klasycznych wyrazach M. Lazarus („Das Leben der Seele“, Berlin 1857), pisząc (tom II., str. 3): „Es scheint, als ob nichts im Geiste gedacht und vollbracht werden könnte, ohne das es die Gestalt der Sprache annimmt; wie der Schatten an den Körper, so heftet das Wort sich an den Gedanken; auch wenn wir nicht reden oder schweigen, sobald wir denken, sprechen wir auch: alles Denken ist entweder ein Dialog oder ein Monolog, denn das Wort, hörbar oder unhörbar, ist für das Denken die unablösliche Form, die unzertrennliche Gestalt, die unentrinnbare Fessel seines Inhalts.“

W najobszerniejszem znaczeniu używał wyrazu myślenie Descartes, rozumiejąc przez myślenie wszystkie fakty świadomości, tak że według niego „non modo intelligere, velle, imaginari, sed etiam sentire, idem est hoc quod cogitare“. Inni, dla których tego rodzaju użycie słowa myślenie za daleko odbiegało od mowy potocznej, zacieśniali jego znaczenie do pewnych sfer psychicznych: sensualiści do wrażeń, woluntaryści do objawów woli, inni znowu do uczuć. Ale i te sposoby określenia myślenia jako zbyt jednostronne nie zadowalają. Omijając krańcowości nazwiemy myśleniem te wszystkie czynności psychiczne, przy pomocy których ujmujemy w przedstawieniach i porównywamy przedmioty, dokonywamy analizy i tworzymy syntezy, wykrywamy związki i prawa i t. d., — czynności zatem, które nie należą ani do sfery spostrzeżeń i ich reprodukcyi, ani do sfery emocyonalnej lub wolicyonalnej, chociaż niewątpliwie wymienione sfery współdziałają w czynnościach myślenia.

Wyobrażenia przedmiotów, o których myślimy, nie są niezbędnymi elementami myślenia, i nietylko o te wyobrażenia nam idzie, gdy mówimy, że myślimy o przedmiotach. Można bowiem myśleć o przedmiotach, nie uobecniając ich sobie w obrazowej, naocznej formie, jaką posiadają wszelkie wyobrażenia przedmiotów. Mogę n. p. myśleć w tej chwili, że James był twórcą pragmatyzmu, przyczem nie nasuwają mi się żadne wyobrażenia Jamesa, którego nie znam nawet z portretu, ani wyobrażenia twórcy lub pragmatyzmu, które wogóle nie mogą mi być dane we wyobrażeniu. Niema więc w tym przypadku wyobrażeń przedmiotów, ale może są wyobrażenia słów! Lecz czem jest słowo psychologicznie rzecz biorąc? Nie jest ono tym przedmiotem fizycznym z atramentu lub kredy, jaki piszący pozostawia na papierze lub tablicy, ani pewną ilością drgań powietrza, jakie powstają skutkiem ruchów organów. To są rzeczy, leżące poza obrębem psychologii; psychologia zajmuje się tylko spostrzeżeniami i wyobrażeniami słów. Kiedy czytamy lub słyszymy zdanie „James był twórcą pragmatyzmu“, kiedy o Jamesie jako twórcy pragmatyzmu cicho myślimy, to słowa wtedy się zjawiające dane nam są we wyobrażeniach odtwórczych, zazwyczaj wzrokowyah albo ruchowo-słuchowych, zależnie od tego, do jakiego typu wyobrażeniowego dana osoba należy. Słowo zatem jest niewątpliwie kompleksem, złożonym z obrazowych, naocznych elementów wyobrażeniowych, ale jest pozatem także i czemś więcej, w przeciwnym bowiem razie byłoby jakimś niezrozumiałym szmerem, pustym dźwiękiem i bezsensownym splotem kresek i plam.

To, co się do naocznych wyobrażeniowych elementów dołącza, czyniąc szmery, dźwięki i sploty kresek i plam właściwie dopiero słowami, jest pewnem przeżyciem, nadającem owym elementom znaczenie, sens, krótko mówiąc jest niem rozumienie słowa. Szłoby tedy tylko o bliższe określenie tego przeżycia. Niektórzy psychologowie są tego zdania, że słowo zostaje wtedy zrozumiane, jeśli do niego na skutek istniejących kojarzeń dołącza się wyobrażenie wzrokowe przedmiotu. Tak n. p. twierdzi G. E. Müller[1], że rozumienie słów polega bądźto na zjawianiu się niewyraźnych wyobrażeń wzrokowych, t. zw. wyobrażeń o funkcyonalnej nieokreśloności, które mają tę właściwość, że wskazują różne przedmioty. Tak n. p. wskazują pewnego rodzaju wyobrażenie o funkcyonalnej nieokreśloności wszystkie litery nadrzędne *b, d, h, k, l* i *t*. Ten stan rzeczy, w pewnym zakresie niewątpliwie trafnie zaobserwowany, ma się na myśli, gdy się komuś w dyskusyi powiada „nie myśl słowami“, co oznacza „posługuj się bardziej wyobrażeniami przedmiotów“. Zapomina się przytem jednak często z jednej strony, że niektórzy ludzie dzięki przynależności do niewzrokowych typów wyobrażeniowych, nie umieją wcale, albo umieją tylko w sposób zgoła niewystarczający wyobrażać przedmioty, że z drugiej strony istnieje cały szereg słów, jak n. p. nieskończoność, funkcya, imaginacyjny, zmienny i t. d., których znaczenie wogóle nie może tkwić w wyobrażeniach przedmiotów, gdyż przedmiotów tych niepodobna sobie wyobrazić. A także i to należy przy rozważaniu tego problemu wziąć w rachubę, że — jak już twierdził francuski uczony Binet, a za nim cały szereg innych badaczy szczególnie z t. zw. szkoły würzburskiej Külpego — słowo może być zrozumiane przed zjawieniem się jakiegokolwiek wyobrażenia przedmiotu, albo też wyobrażenie może być dopiero w pierwszych, fragmentarycznych zalążkach, dalekiem od tego poziomu żywości i wyrazistości, do którego ono się wzniesie, a przecież mimoto słowo już może być zrozumiane. Jeżeli więc przeżycia rozumienia słów żadną miarą nie można sprowadzić do naocznych, obrazowych elementów psychicznych, cóż pozostawało innego, jak sprowadzić je do nieobrazowych, do niewyobrażeniowych elementów? Tą też drogą poszedł liczny odłam psychologów, który przeżyć rozumienia słów doszukuje się w nieznanych tradycyjnej psychologii nienaocznych aktach, występujących pod najrozmaitszemi nazwami jako

---

[1]) „Zur Analyse der Gedächnistätigkeit und des Vorstellungs-Verlaufes“, 3 Bd. Leipzig 1913.

poczucia (Bewusstreinslagen i Bewusstheiten), jako wiedza, a we fenomenologicznych analizach Husserta, który w tworzeniu tego odłamu odegrał wybitną rolę, jako przeżycia intencyonalne, albo krótko mówiąc jako intencye. Zdaje się, że ten sposób psychologicznego traktowania słów, wyróżniający w słowach stronę naoczną, wyobrażeniową i intencyonalną, najlepiej jeszcze ujmuje rzeczywistość. Słowo w tu użytem psychologicznem znaczeniu jest jednolitem przeżyciem psychicznem, w którem dopiero analiza wyróżnia dwie strony. Każda z tych dwu stron może występować oddzielnie, ale wówczas nie mamy do czynienia ze słowem, lecz albo z wyobrażeniem spostrzegawczem lub odtwórczem pewnego kształtu lub dźwięku, albo z nienaocznemi przeżyciami intencyonalnemi. Podobnie w barwie pomarańczowej, która stanowi jednolitą całość, wyróżnia analiza barwę czerwoną i barwę żółtą, które występują także samodzielnie i niezależnie od siebie.

Pytanie zatem, czy istnieje myślenie bez słów, jest równoznaczne z pytaniem, czy istnieje myślenie, dokonywujące się bez pomocy faktów psychicznych, będących jednością stopioną z pewnych naocznych elementów i z intencyi. Zdawałoby się, że nietrudno znaleźć przykładów. Kiedy n. p. szukamy nazwiska, które nam wyleciało z pamięci, nie błądzimy bezcelowo niejako po różnych nazwiskach, lecz wiemy, czego szukamy i wysiłek nasz idzie w pewnym kierunku. A kiedy po chwili nazwisko nam się nasunie, to odrazu możemy powiedzieć, czy nasunęło nam się szukane, a nie jakieś inne nazwisko. Analiza psychologiczna szybko prowadzi tu do wyniku, że w przypadku namyślania się było wprawdzie pewnego rodzaju wewnętrzne zmierzanie, skierowanie się ku nazwisku, co właśnie nazywamy intencyą, nie było zaś tego naocznego, obrazowego podłoża, które w łączności i jedności z intencyą stanowi fakt psychiczny nazwiska. Podobnie ma sie sprawa, gdy idzie o stany bardziej skomplikowane, kiedy n. p. zapytani, czy potrafimy rozwiązać pewien problem, wiemy, że zdołamy to uczynić, a nawet wiemy, jakiem będzie owe rozwiązanie, chociaż nawet jeszcze nie zaczęliśmy problemu formułować w słowach. Mogą przytem w świadomości zjawić się wyobrażenia przedmiotów — tak, jak przy szukaniu nazwy jakiegoś przedmiotu zjawić się może, a nawet z reguły się zjawia wyobrażenie tego przedmiotu, — ale nie będzie przytem tych elementów naocznych, które wspólnie z intencyami tworzą słowa.

Jeśli powyższe analizy są słuszne, to wynika z nich po pierwsze, że rzeczywiście istnieje fakt myślenia bez słów, po drugie, że

myślenie bezsłowne operuje wyobrażeniami przedmiotów i intencyami. Suponując, że istnieć może myślenie bezsłowne, obywające się bez wyobrażeń przedmiotów, czyli myślenie czyste, możemy przeprowadzić podział myślenia bezsłownego na bezsłowne myślenie, posługujące się wyobrażeniami przedmiotów i na myślenie czyste.

Na podstawie innych rozważań doszedł Benno Erdmann [1]) do pokrewnego podziału, chociaż wyróżnione przez niego rodzaje myślenia mają inne nazwy. Erdmann dzieli myślenie na myślenie formułowane (formuliertes Denken) i myślenie nieformułowane, albo intuitywne (unformuliertes, intuitives Denken). Nieformułowane intuitywne myślenie, czyli myślenie bezsłowne, dzieli Erdmann dalej na myślenie hypologiczne i na myślenie metalogiczne.

Hypologicznem jest bezsłowne myślenie wówczas, jeśli myślącej jednostce brak warunków, potrzebnych do formułowania myśli. Takie myślenie natrafiamy u dzieci we wczesnym okresie rozwojowym, w którym nie rozumieją jeszcze, że słowami można coś oznaczać. Wiadomą jest rzeczą, że u dzieci, zanim zaczynają mówić, nietylko istnieje okres, w którym rozumieją, co się do nich mówi, ale także taki okres, w którym dzieci jeszcze nie rozumieją, co się do nich mówi, chociaż już myślą. Że dzieci rzeczywiście już myślą w tym okresie rozwojowym, wynika z obserwacyi, jakie czynić można z okazyi ich sposobu reagowania na podniety, porównywania przedmiotów spostrzeżeń i z faktów pamięci. Myślenie hypologiczne, które spotykamy w tym wczesnym okresie rozwojowym dziecka, sięga także we wyższe okresy rozwojowe, mianowicie tam, gdzie znaczenie mowy, jako środka do słownego ujęcia myśli, jest już naogół trafnie zrozumiane, gdzie jednak dla pewnych myśli brak jeszcze odpowiednich słów i zwrotów.

Skoro się zdecydujemy mówić o hypologicznem myśleniu w tak wczesnym okresie dzieciństwa, to nic nas nie może powstrzymać od tego, byśmy także wyższym zwierzętom przypisali myślenie hypologiczne. W szczególności będziemy skłonni u tych zwierząt mówić o hypologicznem myśleniu, u których znajdziemy podobne do ludzkich sposoby reagowania na podniety, porównywania przedmiotów spostrzeżeń i fakty pamięci.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że fakty hypologicznego myślenia istnieją także niewątpliwie u ludzi, posługujących się mową mimiczną, a więc u głuchoniemych i u niektórych prymity-

[1]) „Umrisse zur Psychologie des Denkens“. Tübingen 1908.

wnych ludów n. p. Indyan z Dakoty[1]). Myślenie, o którem tu mowa, wyraża się w mowie sensu *stricto* bezsłownej, posługującej się minami i gestami. W minach i gestach, zastępujących w mowie mimicznej słowa, można w analogii do słów rozróżnić stronę naoczną, mającą charakter kinestetyczny, i intencyę. Ale myślenie mimiczne — tak bowiem dla krótkości możemy nazwać myślenie, znajdujące swój wyraz w mowie mimicznej — opiera się prawie wyłącznie na konkretnych, jednostkowych wyobrażeniach, różniąc się tem zasadniczo od myślenia słownego, które w szerokiej mierze używa pojęć. Nie znaczy to, jakoby myślenie mimiczne nie znało pojęć i nie potrafiło ich wyrazić. Przeciwnie, przykłady uczą, że myśleniu mimicznemu nie są pojęcia zupełnie obce. Tak n. p. europejscy głuchoniemi i Indyanie z Dakoty mają i wyrażają w taki sam sposób pojęcia prawdy i kłamstwa, pierwsze zapomocą ruchu wskazującego palca od warg prosto ku przodowi, drugie zapomocą ruchu tego palca ku prawej lub lewej stronie. Ale zasadniczym rysem myślenia mimicznego jest jego naoczność i konkretność — rys, z którym spotykamy się zresztą także we wszelkiem prymitywnem myśleniu słownem, jak to wykazują n. p. analizy języków sudańskich. Ta przewaga elementów wyobrażeniowych nad elementami pojęciowymi, jaką widzimy n. p. w myśleniu mimicznem głuchoniemych i jaką stwierdziły etniczno-psychologiczne badania nad myśleniem prymitywnych ludów, jest przypuszczalnie cechą właściwą wszelkiemu hypologicznemu myśleniu.

Jeśli fakty hypologicznego myślenia spotykamy tylko we wczesnych fazach rozwoju, to fakty metalogicznego myślenia znajdujemy dopiero na najwyższych szczeblach myślenia. W świadomości naszej niema nic tak potężnego lub tak subtelnego, czegoby wybrańcy nie usiłowali predykatywnie sformułować. I rzeczywiście rozwój języka dąży do stworzenia symbolów dla wszelkich rodzajów przeżyć, co tak świetnie wyraził Słowacki w Beniowskim, gdy chce

...aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa...

[1]) Zob. W. Wundt: „Elemente der Völkerpsychologie“, Leipzig 1912, str. 63 i n.

Mowa jednak nie jest *conditio sine qua non*, ani dla wyszukiwania najintymniejszych różnic, ani dla znalezienia w najróżnorodniejszej mnogości wspólnych cech. „Im silniej działa reprodukcya w jakiejś dziedzinie wyobrażeń — powiada Erdmann, — im ostrzej działa abstrahująca uwaga, im bardziej staje się jej reprodukująca siła owocną skutkiem obfitości łatwo pobudliwych kojarzeń, tem mniej jest myślenie przywiązane do symboliki, która zapomocą słowa jednoczy i podpiera przedmioty tej uwagi.“ Dotyczy to zarówno handlowca, który rozważa zawiłe kombinacye handlowe, jak i fizyka, któremu drobne rezyduum eksperymentu objawia wielką mnogość możliwości: technika, któremu skład skomplikowanej maszyny przedstawia się w wyobraźni jako zgodny w szczegółach, i historyka, który widzi powstające światy z gruzów minionych światów: dotyczy to dalej niemniej polityka, który staje się panem jakiejś zawiłej politycznej, strategicznej, albo gospodarczej sytuacyi, jak i artysty, który tworzy na podstawie bogactwa wewnętrznych wizyj: dalej zarówno człowieka, znajdującego się w uniesieniu religijnem, którego boli nędza całej ludzkości, jak też i filozofa, któremu różnorodność zjawisk splata się w jednolitą całość. Praca tych ludzi zazwyczaj już wtedy w zasadzie jest ukończona, kiedy próbują to, co niejako oglądali, utrwalić, wprowadzić w krąg rzeczywistości, skonstruować, wcielić w kształty, sformułować. We wszystkich bowiem tego rodzaju urzeczywistnieniach tkwi symbolika, której najbardziej precyzyjną formą jest mowa. A wszyscy ci ludzie odczuwają, także o ile posługują się językiem, jak mało udaje im się nieraz oddać wiernie bogactwo intuitywnie ujętych rzeczy, jak wiele na tej drodze ginie subtelności i głębi, jak tylko pośrednio i zwolna da się przedstawić to, co bezpośrednio i prawie równocześnie zostało uchwycone, jak blado nawet dla własnego rozumienia wyraża formulacya to, co zostało stworzone w pełni życia. Odczuwają to nawet ci wybrańcy, których podziwiamy jako mistrzów słowa, i rzecz może dziwna, właśnie oni najbardziej boleją nad niewspółmiernością, jaka panuje między myślą a słowem. Wszak powiada Konrad-Mickiewicz:

„Myśl w duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną, i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?“

Jeśli tedy będziemy skłonni przyjąć, że faktycznie istnieje bezsłowne myślenie w dwu postaciach hypo- i metalogicznego myślenia, to przecież nie powinniśmy zapomnieć o tem, że treść bezsłownego myślenia może, a nawet musi zostać sformułowana, o ile sobie lub innym chcemy zdać sprawę z tej treści. I o tyle właśnie podpada pojęcie bezsłownego myślenia pod pojęcie myślenia w słowach.

Nie brak jednak autorów nietylko ze szkoły sensualistów, którzy bezsłowne myślenie *a limine* odrzucają, ale także ze szkoły würzburskiej, którzy są zdania, że w kwestyi tej nie zapadł jeszcze ostateczny wyrok. Jeden z najmiarodajniejszych w tych sprawach psychologów, August Messer [1], przytacza szereg argumentów, które jego zdaniem przestrzegać powinne przed przedwczesnem oświadczeniem się *pro* lub *contra*. I tak powiada Messer, że dotychczasowe obserwacye nie są jeszcze dość liczne i dość wszechstronne, żeby uprawniały do przyjęcia bezsłownego myślenia, a to tembardziej, że są nadzwyczaj trudne. Prócz tego stwierdzono nieraz w przypadkach t. zw. bezsłownego myślenia fragmenty słów, co znowu nasuwać musi przypuszczenie, że także w innych przypadkach istniały fragmenty słów, które jednak bądźto zostały niezauważone, bądźto do czasu zdawania sobie sprawy z całego procesu myślowego zapomniane. Następnie możnaby się zapytać, dlaczego myślenie bez słów, jeśli jest możliwe, dokonywa się tylko w nielicznych stosunkowo przypadkach. Przecież rozwój psychiczny postępuje w kierunku odciążania świadomości, w kierunku eliminacyi pewnych elementów, stwarzania skrótów psychicznych. Tak ma się rzecz z ruchami, które zrazu kierowane przez świadome impulsy, z czasem odbywają się przy coraz niklejszym udziale świadomości, aż wreszcie występują w formie zmechanizowanych ruchów, dokonywujących się bez współpracy świadomości. Podobnie dzieje się z naocznemi wyobrażeniami przedmiotów, jak już trafnie zauważył Schopenhauer, mówiąc, że w głowie naszej panowałby niesłychany zgiełk, jeśliby wyobraźnia nasza transponowała słyszaną mowę lub czytany tekst w obrazy błyskawicznie przelatujące, poruszające się i wiążące się ze sobą w miarę, jak napływają słowa. Jeśli więc świadomość, gdy idzie o naoczne wyobrażenia przedmiotów, posiada tendencyę pracowania bez ich pomocy, dlaczegoby nie miała posiadać tendencyi pracowania bez słów, a to tembardziej, że słowa — jak na wstępie wykazaliśmy — posiadają

[1] „Empfindung und Denken". Leipzig 1908.

naoczną, wyobrażeniową stronę i że eliminacya tej ich strony wyobrażeniowej równałaby się zupełnej eliminacyi słów.

Tym argumentom jednakowoż — jak wywodzi Messer — można przeciwstawić inne argumenty, które przemawiają za istnieniem bezsłownego myślenia. I tak powiada Messer, że powoływania się na stosunkowo małą ilość dotyczących obserwacyj, oraz na to, że obserwacye te zbyt mało są wielostronne i dokładne, nie można uważać za dostateczny argument przeciw istnieniu bezsłownego myślenia. O ilość obserwacyj wogóle tu iść nie może, gdyż nieliczne obserwacye, byleby były sumienne, zupełnie wystarcza do stwierdzenia jakiegoś faktu. Badania, do dnia dzisiejszego przeprowadzone, przemawiałyby tedy raczej za istnieniem bezsłownego myślenia, jak przeciw niemu. Również nie można zbyt wielkiego znaczenia przywiązywać do tego faktu, że w niektórych przypadkach, które się zrazu uważało za przypadki bezsłownego myślenia, potrafiła introspekcya wykryć fragmenty słów, gdyż nie wynika z tego jeszcze, że nie istnieją inne przypadki, w których najbaczniejsza introspekcya nie znajdzie najmniejszych śladów słów. Co się tyczy wreszcie argumentu, że tendencya odciążania świadomości musi działać w kierunku eliminacyi słów, to możnaby się zapytać, czy rzeczywiście słuszne jest mniemanie, że myślenie bez słów stanowi pewną ulgę dla świadomości, czy może raczej nie jest łatwiejszą, mniej nakładu psychicznej energii wymagającą rzeczą myśleć przy pomocy słów. Dla poparcia tezy, że tendencya odciążania świadomości zmierza raczej do coraz szerszego użytkowania słów, można przytoczyć, że największego wysiłku psychicznego wymagają te wyżej omawiane twórcze czynności myślowe, gdy się rodzą koncepcye naukowe i literackie, powstają wizye sztuki i przenikają duszę ekstazy religijne. Tak więc raczej wsparcie się o słowa, niż eliminacya słów spełnia ów postulat odciążania świadomości. A jeśli tak jest, że eliminacya słów nie czyni myślenia łatwiejszem, lecz raczej trudniejszem, to nie jest chyba rzeczą dziwną, że myślenie bez słów stosunkowo rzadko zachodzi w świadomości. Jeżeli tylko przyjmiemy, że wyrugowanie elementów wyobrażeniowych nie ułatwia, lecz utrudnia pracę myślenia, w takim razie staje się rzeczą samoprzezsię zrozumiałą, że myśleniem bez słów posługuje się świadomość mniej często, niż myśleniem słownem, ale nie wynika z tego bynajmniej, że bezsłowne myślenie wogóle nie istnieje.

Z walki argumentów przeciw argumentom nietylko nie wyłonił się dotychczas jednolity pogląd na sprawę bezsłownego myśle-

nia, ale nawet nie zaznaczyła się pewna droga, na którejby można dojść do zupełnego rozwiązania tego problemu. Ponieważ jednak badania, choć nie przekroczyły jeszcze okresu dzieciństwa, rzeczywiście już zwróciły uwagę na fakty, które można, nie zadając im gwałtu, uważać za fakty bezsłownego myślenia, przeto wydaje się rzeczą słuszną przyjąć możliwość bezsłownego myślenia i zwrócić się przeciwko poglądom sensualistów, którzy odrzucają tę możliwość *a limine*.

Na zakończenie chciałbym jeszcze zaznaczyć, że problem myślenia bez słów łączy się z kwestyą dalej idącą, mianowicie z kwestyą t. zw. „czystego myślenia", t. j. myślenia, dokonywującego się wogóle bez udziału jakichkolwiek elementów naocznych, wyobrażeniowych. Zważywszy, że słowo jest kompleksem, w którym analiza psychologiczna wykrywa stronę naoczną, wyobrażeniową obok strony nienaocznej, jaką jest przeżycie rozumienia słów, możnaby za jednym rzutem rozwiązać cały problem myślenia bez słów, gdyby się okazało, że istnieją fakty „czystego myślenia". Żadne „czyste myślenie" bowiem nie może być myśleniem słownem, gdyż każde słowo posiada stronę wyobrażeniową. Otóż nie brak autorów, którzy na podstawie eksperymentalnych badań doszli do przekonania, że „czyste myślenie" jest niewątpliwie zdarzającym się faktem. Jeden z polskich psychologów, przedwcześnie zmarły Bronisław Bandrowski[1]), nawet był tego zdania, że „czyste myślenie" zjawia się nietylko jako sporadyczny fakt, od czasu do czasu przeplatający przebiegi naocznego myślenia, ale że jest ono nawet u niektórych osób stałą formą myślenia. Dlatego obok typów wzrokowców, słuchowców i ruchowców, jakie odkrył Charcot, t. j. typów, u których myślenie pracuje bądźto przy pomocy wyobrażań wzrokowych, bądźto przy pomocy słuchowych lub ruchowych wyobrażeń, przyjmuje Bandrowski nowy typ myślowca, który myśli bez pomocy wyobrażeń słów i przedmiotów.

Nie tak daleko, jak Bandrowski, którego teza o typie myślowca jest — o ile mi wiadomo — jedną z najradykalniejszych tez całej dzisiejszej psychologii myślenia, posuwa się niemiecki psycholog Karol Bühler[2]), który niemniej jednak oświadcza się z całą stanowczością za istnieniem czystego myślenia. Punktem

---

[1]) „Psychologiczna analiza zjawisk myślenia" („Przegląd filozoficzny", tom X., str. 518—531).

[2]) „Tatsachen und Probleme zu einer Psychologie der Denkvorgänge" (Archiv für die gesamte Psychologie, tom IX., str. 297—365.

wyjścia wywodów Bühlera jest krytyka rozumowania Wundta, który w I. tomie swej Logiki zajmuje się kwestyą przeżyć, jakie powstają wówczas, kiedy się myśli o jakiemś pojęciu bez współudziału słów. W przypadku takim znajduje się w świadomości — według Wundta — pewne jednostkowe wyobrażenie, które niejako zastępuje pojęcie. Na dowód tego twierdzenia podaje Wundt następujący eksperyment. Jeśli usiłujemy uobecnić sobie pojęcia, jak człowiek, trójkąt, barwa i t. d., starając się równocześnie o wyrugowanie ze świadomości dominujących z reguły wyobrażeń słownych, to wyobrażamy sobie wtedy pewnego poszczególnego człowieka, pewien poszczególny trójkąt, pewną poszczególną barwę, któreto wyobrażenia w niczem się nie różnią od wszelkich innych wyobrażeń. Bühler uważa obserwacye Wundta za trafne i przyznaje, że myśląc o czemś, trzeba w świadomości mieć coś, na czemby się myślenie mogło oprzeć, z reguły więc wyobrażenia słów, albo jakieś inne wyobrażenia. Przeczy jednak temu, jakoby z tego rodzaju doświadczeń wolno wysnuć wniosek, że wogóle nie można nienaocznie pomyśleć pojęcia, jak trójkąt, albo człowiek. „Ja ich behaupte vielmehr — mówi Bühler, — dass prinzipiell jeder Gegenstand vollständig ohne Anschauungshilfen bestimmt gedacht (gemeint) werden kann."

Widzimy więc, że w kwestyi myślenia bez słów wypowiedziano poglądy jak najostrzej ścierające się z sobą. Na krańcowych punktach tej tak bogatej i różnorodnej skali poglądów stoi z jednej strony odwieczny i dziś jeszcze żywy Platoński pogląd διάνοια καὶ λόγος ταὐτόν: a z drugiej strony pogląd, który przyjmuje istnienie bezsłownego myślenia. W każdym z tych poglądów tkwi pewna doza prawdy, a błędy i nieporozumienia, wynikające z tych teoryj, płyną ze zbytniego uogólnienia i nieuwzględnienia różnic indywidualnych. Tu odsłaniają się przed psychologią różnościową piękne, choć jeszcze dalekie horyzonty. Że psychologia różnościowa rzeczywiście jest powołana do wyświetlenia poruszanych kwestyj, spodziewać się można choćby na podstawie tego faktu, że wśród osób, biorących udział w ankiecie Ryszarda Baerwalda [1]), znalazła się osoba, należąca do najsilniejszych ruchowców, która nie może dopatrzeć się różnicy między myśleniem a mówieniem (Baerwald, str. 197). Być zatem może, że ścisły związek między myśleniem a mówieniem charakteryzuje silnych ruchowców i że ten związek zupełnie nie występuje u nieruchowców. Co się zaś tyczy bezsło-

---

[1]) „Zur Psychologie der Vorstellungstypen". Leipzig 1916.

wnego myślenia, to przypuścić można, że osoby, które mają skłonność do t. zw. beztypowego wyobrażania słów (Baerwald, str. 148), które nie mogą sobie zazwyczaj zdać sprawy z tego, z jakich elementów wrażeniowych składają się ich wyobrażenia słów, będą może także łatwiej skłonne do konstatowania bezsłownego myślenia, niż osoby, u których nie zdarzają się fakty beztypowego wyobrażania słów.

Tak więc dopiero wszechstronne uwzględnienie różnic indywidualnych badanych osób i okoliczności, wśród których dokonuje się myślenie, może uchronić przed teoryą, opartą na niedostatecznych podstawach, która oczywiście często zawodzi, a przeciwnikom, powołującym się właśnie na fakty, wyłamujące się z pod tej teoryi, daje sposobność do tworzenia odmiennej, zgoła przeciwnej teoryi, posiadającej ten sam, co zwalczana teorya błąd, że widzi tylko część faktów, posiadających wspólne cechy, a przeocza fakty, jakie musiałyby wpłynąć na zmodyfikowanie teoryi.

Stefan Błachowski.

Arnold Böcklin
a nowoczesne malarstwo niemieckie.

(Alfred Julius Meier-Graefe: „Der Fall Böcklin und die Lehre von den Einheiten". Verlag von Jul. Hoffmann Stuttgart 1905. 8-vo. str. 270).

Książka bardzo niezwykła — oryginalnością zasadniczych pojęć o sztuce i o tworzeniu dzieła sztuki, — nieubłaganą konsekwencyą w zastosowaniu tych pojęć do twórczości Böcklina — i śmiałością bezwzględnego wnioskowania, druzgocącego cały gmach sławy i rozgłosu tego niemieckiego malarza.

Nie zdaje mi się, żeby autor tej książki, chociaż sam niewątpliwie zdecydowany zwolennik impresyonizmu w malarstwie, tylko stojąc na tem modernistycznem stanowisku potępiał tak zupełnie całą twórczość, działalność i zasady Böcklina, — idzie mu o coś znacznie więcej, gdyż o podstawowe zasady estetyki i sztuki wogóle, których nie znajduje wcale w dziełach Böcklina, i to szczególniej w dziełach z okresu jego największej sławy i popularności. Dla niego cały Böcklin i wszystkie jego dzieła — całe zjawisko Böcklina w sztuce niemieckiej i w sztuce ogólno-światowej „der Fall Böcklin", jest nietylko objawem jakiegoś zbłądzenia z prostej i jasnej drogi naturalnego rozwoju sztuki, lecz czemś znacznie gorszem, gdyż typowym przedstawicielem żywiołów wszelkiej sztuce, a nawet kulturze przeciwnych i nieprzy-

jaznych. które musi się zwalczać, aby sam byt sztuki i kultury utrzymać [1]).

Pewnego razu — opowiada Meier-Graefe. — gdy ten swój sąd o Böcklinie uzasadniał wobec jednego ze swoich przyjaciół. spostrzegł. jak oczy tegoż prawie zmartwiały z przerażenia. i usłyszał zdanie:

„A jednak to jest wielki artysta."

Jakto? — zapytał Graefe.

„Przypuśćmy, że nie jest malarzem."

Ani nawet rysownikiem — twierdził Graefe.

„Niech i tak będzie — odparł przyjaciel. — to jednak jest czemś innem."

Graefe rozpacza nad niemożnością wytłumaczenia współczesnemu światu. jak bardzo się myli i błądzi. stawiając Böcklina na piedestale pierwszorzędnej wielkości artystycznej i kulturalnej. podczas gdy to był tylko szkodnik w jednym i drugim kierunku.

Tak skrajny sąd nie mógłby być rozważnie rozważanym, gdyby pochodził z ust jakiegoś, z żółtą zazdrością miotającego się kolegi malarza. któremu talent i powodzenie nie dopisały, — lub jakiegoś niepowołanego krytyka usiłującego zasłużyć sobie na sławę choćby Herostratową. — lecz pisarz tej miary i powagi. jak Meier-Graefe. autor znakomitego dzieła: „Entwicklungsgeschichte der modernen Kunst" [2]), jako też całego szeregu monografij artystycznych. szczególniej z zakresu sztuki francuskiej XIX. wieku, musi mieć chyba bardzo ważne przyczyny do wystąpienia publicznego przeciwko temu powszechnemu uwielbieniu, jakiem szczególniej w Niemczech otoczono imię Arnolda Böcklina. zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat jego życia, i po śmierci, t. j. po r. 1901 [3]). Zdziera on gestem może zbyt brutalnym tę aureolę sławy, jaką go otoczyło niemieckie społeczeństwo — zdaniem Meiera-Graefego — niesłusznie. a to skutkiem pewnego obłędu. któremu to społeczeństwo od pewnego czasu także i na innych drogach rozwoju kulturalnego uległo. — Nazywa on to niebezpieczną, a nawet prawie „śmiertelną" chorobą Niemiec.

---

[1]) str. 110.

[2]) 3, I., Stuttgart 1904.

[3]) Arnold Böcklin ur. w Bazylei 1827 r., um. we Fiesole koło Florencyi w r. 1901.

I.

Niezwykłą świeżością myśli i umiejętnością podchwycenia zjawisk artystycznych w ich najwybitniejszych i najwyrazistszych objawach odznaczają się zasadnicze ustalenia Meier-Graetego w pierwszych rozdziałach tego dzieła, mówiących o stosunku wiedzy do sztuki wogóle i o tak zwanej zasadzie jedności i jej rozwoju w sztuce.

Teorya wszelka, którą zwykle wiedza rozporządza, okazuje się niezwykle niedołężną w zastosowaniu do sztuki. Nigdy żadna teorya, choćby najsprytniej pomyślana, lecz potrzebująca do wyrażenia się wielu słów i czasu, nie da tak jednolitego, tak przekonywającego wyrazu, jak dzieło sztuki. Z tego wynikałoby pytanie, na co właściwie wiedza może się przydać dla sztuki? Niewątpliwie i przedewszystkiem wiedza, oparta na doświadczeniu, która jedynie wytworzyła niepożyte i niezachwiane zasadnicze prawa w sztuce. Nie przekraczając tych praw, ma jednak artysta wielką swobodę w ich wykonywaniu i zastosowaniu, i to jest jego osobista zasługą, zasługą jego talentu, geniuszu, w czem mu jego wiedza bezpośrednio wcale nie jest pomocną. Przeciwnie, dla świata zewnętrznego, przyjmującego i spostrzegającego dzieła sztuki, przynosi wiedza nieskończenie większe korzyści i stać się może lekarzem, który w razie niebezpieczeństwa może przynieść czynną pomoc, jeżeli wogóle jeszcze pomódz można — przez usunięcie szkodliwych wyobrażeń i naprowadzenie na drogę umiejętnego rozpoznania prawdy. Tu dla Niemiec — właśnie w tym kierunku niebezpiecznie chorych — otwiera się wielkie zadanie leczenia, i tego podejmuje się autor w niniejszem dziele, chociaż sam zdaje się niebardzo wierzyć w możność uleczenia tej choroby.

Ten cały świat zewnętrzny, zajmujący się sztuką, — tych uczonych w zakresie sztuki „die Kunstdoktoren“, dzieli autor na trzy kategorye: historyków, opowiadających nam dzieje i treść dzieła sztuki na podstawie historycznej, — poetów, opiewających swoje uczucia i wrażenia, czasem nawet bardzo pięknie, trafnie i zajmująco, a wreszcie techników, dokonywujących niezaprzeczenie cennych odkryć na samem dziele sztuki, zbliska badanem, szczególnie pod względem technologicznym. Lecz wszystkie te trzy rodzaje badań zamiast pomódz, często jeszcze szkodzą prawdziwemu poznaniu — i zamiast wyjaśnić, zaciemniają je, kręcąc się dokoła istoty rzeczy, lecz jej nie dotykając. Istotą rzeczy jest zawsze tylko

samo dzieło sztuki, jako takie i artysta, jako jego twórca. Wszelkie inne badanie jest tylko powierzchowne i błędne.

Najwięcej złego — prawdziwe spustoszenie w sztuce — narobiło stanowisko poetów i literatów, stwarzając tak zwaną „teoryę osobistego zapatrywania", doprowadzając subjektywizm wrażenia i uczucia do obowiązującej zasady w ocenieniu dzieła sztuki. Tej teoryi estetyki subjektywnej, podnoszącej frazes o odczuwaniu osobistem do godności umiejętnej zasady, przeciwstawia autor badanie objektywne, doświadczalne, jako jedynie do prawdziwego i praktycznego wyniku prowadzące, i powołując się w tym względzie na zdanie Leonarda da Vinci w Kodeksie Watykańskim.

W porównaniu Böcklina do Menzla w pierwszej epoce ich działalności artystycznej analizuje Meier-Graefe przedewszystkiem uwielbienie, jakiem niemieckie społeczeństwo otacza obydwu tych malarzy i bezmyślność tego kultu miłości, jakby rodzimej, widzi już w samej z czasem wyrobionej w społeczeństwie opinii, różniczkującej to uznanie dla Menzla, jako rysownika-uczonego, i Böcklina, jako wielkiego artysty-malarza. Tymczasem jedność materyi i celu, które objawiają się w pierwszych dziełach obydwu tych artystów, dowodzą niezbicie, iż bezwzględnego przeciwieństwa nietylko między nimi nie było, lecz przeciwnie, dużo znaleźć można punktów wspólnych i identycznych momentów w ich rozwoju.

Pierwsze dzieła Menzla, jak n. p. owe „słoneczne wnętrze z zasłoną" w Galeryi narodowej w Berlinie, pochodzące z r. 1845, jest arcydziełem malarskiej sztuki i w owym czasie, chociaż za Renem już malarstwo francuskie dokonywało cudownych rzeczy, jednak pod względem najzupełniejszego braku nawet cienia jakiejkolwiek świadomej dekoratywności i tego zupełnie naturalnego tłumaczenia się wyrazu dzieła sztuki — nikt mu nie dorównał. Nie był więc rysownikiem Menzel wówczas, lecz niezrównanym twórcą prawdziwego życia. Cudem malowniczości jest owo wnętrze, w którem gra światła słonecznego musi naturalnością swoją wzbudzić u widza wzruszenie.

Böcklin jeszcze wówczas pendzla w ręku nie miał, gdy Menzel już był wielkim jako malarz, choć jeszcze nie popularnym. Popularność swoją uzyskał Menzel dopiero jako odtwórca pruskiej reprezentacyi i w tym czasie zwolna tracił jeden za drugim ze swoich przymiotów artystycznych — i staje się fenomenem, w którym miesza się artyzm z suchem poczuciem obowiązku. Coś podobnego — jak twierdzi Meier-Graefe — nie znajdzie się w całej hi-

storyi — i chyba tylko w pruskim mózgu było możliwe. Malarstwo ustępuje miejsca coraz bardziej banalnemu rysownictwu, a działalność artystyczna Ekscelencyi Menzla pod względem ideowym ma coraz wybitniejszy charakter wojskowej tresury pruskiej.

„Pewnego razu w swojej Sztamkneipie przy ulicy Poczdamskiej w Berlinie zamówił sobie Menzel omlet i zanim mu przyniesiono, zasnął przy stole. Kelner, podawszy potrawę, obawiał się go zbudzić, gdyż Ekscelencya nawet i we śnie nie wyglądał dobrodusznie... Wreszcie obudził się staruszek, lecz omlet był już zimny. Odsunął go na bok, wziął papier i ołówek i zaczął go zaciekle rysować. Tak go zjadł na swój sposób.“

O 10 lat późniejszy od opisanego powyżej „wnętrza“, jest jeden z pierwszych utworów Böcklina „Centaur i Nimfa“, znajdujący się również w berlińskiej Galeryi. Meier-Graefe zachwyca się nadzwyczajną malowniczością tego obrazu, harmonią barw i tym idealnym rytmem, w który zlewają się łagodnie wszystkie linie plany i figury i cała powierzchnia tego dzieła sztuki, którego wdzięk niezwykły stwarza ten sam czynnik, co u Menzla: bardzo naturalne oświetlenie, wybornie podpatrzone i wyzyskane.

Tak więc obydwaj ci artyści, których późniejsza działalność uległa takiemu spaczeniu, idą w młodości swej jedną drogą i chociaż operują odrębnemi jednościami, właściwemi swej naturze — uzdolnieniu i upodobaniu, jednak idą naturalną i podobną drogą rozwoju. Analizując jeszcze dokładniej owe jedności, znajduje Meier-Graefe u Menzla pewien stopień czystości barwy i upodobania w silnych kontrastach, podczas gdy u Böcklina w tym samym czasie pewien brunatny ton ogólny i delikatne ustopniowanie barw jakby w misternej tkaninie, zlewającej się w piękną harmonijną całość. Podobno miał on podpatrzeć tę sztukę u Corota w czasie swego pobytu w Paryżu około r. 1840. W tem poznaniu, zrozumieniu i odczuciu tego prawdziwego piękna w dziele sztuki jest taka siła, iż w widzu zanika prawie zupełnie interes dla treści obrazu, choćby tak fantastycznej i poetycznej, jak u Böcklina, a w duszy utkwią daleko silniej i trwalej swoim przedziwnym wdziękiem harmonii barwnej owe linie i płaszczyzny, niż drzewa, nimfy i centaury.

Lecz nie te dzieła pierwszej młodości, sięgające mniej więcej do r. 1860, uczyniły Böcklina popularnym, — prawdziwym fenomenem w sztuce niemieckiej stał się on dopiero w drugim okresie swojej działalności, — prawdziwym rozgłośnym gigantem w porównaniu do cichego twórcy idyll poetycznych z pierwszej

epoki. Aby zrozumieć, że przez tę przemianę charakteru swojej twórczości nie osięgnął wcale wysokich wyżyn artyzmu, lecz zeszedł na manowce i ku końcowi swego życia coraz bardziej brnął w błędnych pojęciach zadań i celów prawdziwej sztuki, wygłasza Meier-Graefe w swojej książce osobną naukę o jednościach, czyli indywidualnych właściwościach artystycznych, o ich rozwoju i o metodzie błędu, któremu uległ Böcklin, a obok niego także szereg innych przedstawicieli nowoczesnej kultury w Niemczech.

II.

Hipolit Taine. w swojej filozofii sztuki, bardzo szczegółowo dowodzi, jak każde dzieło sztuki jest uwarunkowane pewnym zespołem. a mianowicie stanem ogólnym ducha i obyczajów otaczających. a sztuka sama, którą stanowi zdolność spostrzegania i wyrażania cechy zasadniczej przedmiotów, ma tę samą trwałość, co i cywilizacya. której ona jest najlepszem dziełem i pierworodnem dzieckiem [1]. Dochodzi on w końcu do wyjawienia pewnego zasadniczego prawa, na którem opierać się powinno badanie i wytłumaczenie dzieł sztuki danego wieku: „Położenie ogólne, które wywołuje skłonności i zdolności odrębne; osobistość panująca, w której układzie górują te skłonności i te zdolności, dźwięki, kształty. barwy lub słowa. które oddają tę osobistość dotykalnie. lub schlebiają zdolnościom i skłonnościom, z których się ona składa.“ Oto są według Taina nieomylne zasady, zapomocą których można i powinno się wytłumaczyć nietylko wielkie rewolucye i formy ogólne wyobraźni ludzkiej. ale nadto różnice szkół narodowych. odmiany nieustanne rozmaitych stylów. aż do cech oryginalnych dzieła każdego wielkiego człowieka.

Meier-Graefe nie idzie tą utartą i jakby się zdawało jedynie zbawienną drogą badania, a chociaż mu się nie sprzeciwia i nie przeocza wcale wpływu życia i otoczenia na działalność artysty. jednak stwarza nową teoryę, swoją osobną fizyologię tworzenia, którą nazywa nauka o jednościach „die Lehre von den Einheiten“. Zdaniem Meiera-Graefego. da się dowieść naprzykład z życia naj-

[1]) Hipolit Taine: „Filozofia sztuki“, w polskiem tłumaczeniu A. Sygietyńskiego, wyd. II., Lwów 1911, tom 2.

wybitniejszych artystów rozmaitych epok, jak bardzo mało wypadki ich życia, choćby najbardziej chwiejne, wpłynęły na charakter ich sztuki, mający znamiona ciągłości i stałości. Życie najwybitniejszych artystów tak bardzo dawniej nieraz obfitowało w wypadki, a ogólne zdarzenia w ich ojczyźnie osobiście ich dotykały, — a jednak te gwałtowne nieraz przemiany nie pozostawiały śladu w ich sztuce, lub przynajmniej zadziwiająco mało na nią oddziałały. Dowodem tego życie Goesa, Tycyana, Leonarda, Dürera, Velesqueza, a nawet Rubensa, Rembrandta i Michała Anioła. Aby to pozorne przeciwieństwo wyjaśnić, stwierdza Meier-Graefe istnienie podwójnego życia duchowego: jedno jest życiem fizycznem poniekąd, jak u każdego innego śmiertelnika, t. j. życiem, objawiającem się na zewnątrz wszelkiemi fizyologicznemi funkcyami i obcowaniem z ludźmi, zbieraniem doświadczeń i stosowaniem ich w potocznem życiu, a drugie stanowi odrębny duchowy byt artysty jako twórcy. A chociaż obydwa te życia przebiegają równocześnie i oddziałują na siebie, to jednak mają one pewien istotny stopień samoistnienia. Potwierdzać to zdają się owe tak często daleko idące sprzeczności tak moralnej, jak i fizycznej natury między artystą a człowiekiem. Przykładem może być taki Fra Filippo Lippi, malujący najświętsze obrazy cnoty, lub twórca najcudniejszych arcydzieł snycerskich i rzeźbiarskich Benvenuto Cellini, w zatargach życiowych nieraz posługujący się sztyletem. Nieraz ludzie, z natury chorzy, stwarzali tryskające zdrowiem dzieła sztuki: Menzel był karłem, Beethoven stwarzał najsilniej wzruszające harmonie już jako głuchy, ułomny i często pijany Lautrec stwarzał najdzielniejszych jeźdźców.

Jest to więc zupełnie od świata zewnętrznego w chwili tworzenia wyodrębnione życie artysty, przeniesione i zamknięte całe jakby w ciemni optycznej, do której tylko przez wązką szparę dostaje się światło zewnętrznego życia. Wolą artysty, powiedzmy, potęgą jego natchnienia zamyka się jego życie w owej duchowej kamerze i ztamtąd tylko owym wązkim otworem, oczami duszy spogląda w cudowny sposób na przedmiot swojej koncepcyi, gdyż to, co zwykły człowiek może spostrzedz tylko z pomocą wszystkich swoich zmysłów — on widzi twórczym swoim wzrokiem, i czuje i słyszy, i dotyka się, i wszystkie funkcye zmysłowe spełnia jedynym wówczas czynnym twórczym zmysłem artystycznym. To jest owa jedność, owa indywidualna właściwość każdego artysty, która stosownie do materyału twórczego może być rozmaitą, lecz która tak jest organiczną cząstką jego duszy, jak części jego ciała, one

w nim rośnie, rozwija się i z nim ginie. I dlatego samego istota dzieła sztuki u każdego artysty jest tak stałą i nieodmienną. Stałe i nieodmienne są cechy istotne dzieł Rubensa i Rembrandta i Michała Anioła, jako wypływające z owej jedności ich duchowej, owej indywidualnej właściwości ich koncepcyi.

Oto ostateczne prawo tej fizyologii tworzenia artystycznego: „Dzieło sztuki jest ostatecznym wynikiem prawnie (gesetzmässig) uporządkowanego działania poszczególnych jedności (duchowych właściwości indywidualnych) w celu uplastycznienia jakiegoś zjawiska. Sposób i prawo działania tych jedności wynika z materyału, lecz wybór tej jedności zawisł od osoby artysty.“

Jeżeli idzie o naukowe określenie tego, co pospolicie nazywamy natchnieniem artystycznem, to trudno o bardziej dokładn i zarówno pod względem fizyologicznym, jak i psychologicznym trafne i przekonujące ujęcie w regułę tego duchowego początku dzieła sztuki, które już potem na zawsze ma w sobie utajoną, lecz przez analizę dającą się odkryć cechę znamienną swego urodzenia, ducha swego twórcy.

Meier-Graefe jest nietylko teoretykiem i znakomitym znawcą sztuki, lecz także artystą-malarzem, i jako taki całe bogactwo swego doświadczenia praktycznego rozwija w sposób jasny i przekonujący: czytając jego pracę ma się wrażenie wykładu *ex catedra*, przygotowanego i obmyślanego w najdrobniejszych szczegółach. Swoją naukę o jedności zastosowuje on przedewszystkiem wogóle do sztuki malarskiej w dawnych i nowszych czasach, aby wykazać jej organiczny rozwój nietylko w życiu poszczególnych mistrzów, lecz także całych okresów twórczości artystycznej, lokalnie i czasowo ugrupowanych.

W holenderskiem malarstwie n. p. widzimy wielogłową grupę malarzy, setki artystów, którzy wszyscy mniej więcej malowali podobny, lub nawet ten sam krajobraz, to samo wnętrze, lub tę samą martwą naturę. Nawet najznakomitszą pamięcią obdarzony człowiek nie zdołałby spamiętać ich nazwisk, gdyby nie odróżniała ich właśnie owa jedność, owa indywidualna właściwość ich tworzenia. Wszystkich razem znowu, całą tę grupę, tak zasobną w odcienia, odróżniają od innych grup malarskich pewne właściwości, tworzące ogólną jedność narodową. Jeśli znowu w dalszym ciągu porównamy te właściwości ogólne grup narodowych ze sobą, to spostrzeżemy, że niektóre z nich bardziej są ze sobą pokrewne.

jak inne, lub się od siebie różnią zupełnie, idąc samoistną drogą rozwoju. Wenecyanie od Belliniego do Tintoretta mają więcej wspólności z Holendrami, niż wczesne florenckie malarstwo, a to znowu bardziej się do nich zbliża, niż primitywy we Włoszech i na północy. Owa jedność, którą technicznie w tym wypadku nazwać możemy malowniczością — w obrazie wije się, jakby nitka przez wieki i okresy całe, i pozwala się odnaleźć w rozmaitych stadyach swego rozwoju coraz głębszego i bogatszego, mimo, że z biegiem czasu nastroje zmysłowe, pobudzające do twórczości, materyał, świat, cel, tysiące rzeczy się zmieniały. To, co u Belliniego i wielkich mistrzów włoskich Quattrocento i Cinquecento znajdujemy ledwie naznaczone, rozwija się następnie coraz szerzej i wspanialej aż do najbardziej typowego zjawiska XIX. wieku: impresyonistów. Inna znowu jedność, równie znamienna i bogata w swoim rozwoju od czasów starożytnych aż do najnowszych, stanowi technika rysunkowa. Jej najwcześniejszą linię rozwojową spostrzegamy już u freskowych malarzy starożytności, wije się ona również przez wieki i jakby etapy jej rozwoju stanowią mozaikowe rzemiosło średniowieczne i gotyckie malarstwo witrażowe. Technika malownicza złączona jest nierozdzielnie z osobą malarza i jego środkami malarskimi, pendzlem, barwami i płaszczyzną tak ściśle, że w jakimkolwiek innym materyale jest nie do pomyślenia. To jest jedność znamiennie malownicza. Drugi ów najwcześniejszy rozwój jedności, znamiennie rysunkowej, posługuje się szczególniej arabeską linii, konturem i gładką powierzchnią. Trudno dokładnie oznaczyć punkt, w którym się te linie rozwojowe stykają, jednak mniej więcej leży on w pobliżu Van Eycków i Belliniego, to jest w chwili wynalezienia malarstwa olejnego. Całe cinquecento jest okresem przejściowym, lecz nie wszędzie był rozwój równoczesny; w Wenecyi nastąpił on prędzej, w Rzymie, gdzie dawne ideały silniej były ugruntowane, powolniej. Gdy Tycyan przybył do Rzymu, zarzucił mu Michał Anioł, który należał jeszcze do pierwszego okresu pojęć, zły kierunek. „Może to była pierwsza krytyka — mówi Meier-Graefe, — która z pomieszania dwóch światów wysnuła sąd fałszywy, jak to się potem tak często powtarzało.“ W obydwu tych jednościach rozwojowych są wielkie i małe rzeczy i nie wolno jednej przeciwko drugiej wygrywać. Żaden Rembrandt nie zastąpi w danym wypadku wrażenia pewnych mozaik, a nawet olśniewająca świetność Velasqueza nie zastąpi kolosalnej wspaniałości Signorellich w Orvieto. Znikło dziś dla nas w sztuce

to, co było najgłówniejszą cechą starożytności: przestrzeń i monumentalność malowideł zdobiących tę przestrzeń.

Lecz trudno żałować tego, co było i dlatego gardzić tem, co jest, — przeciwnie, podstawą wszelkiej kultury jest ukochanie tej sztuki, tego ideału w sztuce, który mamy obecnie. Każdy chłop mógł się zbliżyć do sztuki starożytnej — dziś tylko rzeczy proste są ogólnie dostępne, — wielka sztuka jest tylko dla wybranych. Milion razy trudniej jest zbliżyć się do Rembrandta, jak do wesela Aldobrandiniego. Kto jednak, choćby pokonawszy największe trudy, przedarł raz ową tajemniczą zasłonę piękna, ten, choćby sam był małym, stanie się w obliczu arcydzieła uczestnikiem wielkości i jakby współudziału twórczej myśli mistrza, i dozna przytem najwyższej rozkoszy użycia duchowego, która z żadną inną rozkoszą porównać się nie da.

Wszyscy wielcy mistrze nowoczesnego malarstwa należą do drugiego okresu rozwoju. Kochają i podziwiają freski, lecz jedność ich tworzenia pozostała im obcą i nigdy im na myśl nie przyszło coś innego tworzyć, jak to, co odpowiadało ich czasom, lub je nawet wyprzedzało. Nigdy żaden wielki artysta nie naśladował niewolniczo piękna dawniejszych czasów i wprowadzał je tylko dla tem wspanialszego rozwoju własnej myśli twórczej, — żaden wielki malarz nie był archaistą, a gdyby tłum dzisiejszy posiadał choćby najelementarniejszą znajomość estetyki, lub choćby odrobinę zdrowego rozsądku, — toby osądził takich archaistów, jako ludzi, którzy z zapałem tworzą wszystko inne, tylko nie to, co naturalne i celowi odpowiednie.

Taki jest zarys nauki o jednościach, czyli zasad o podstawach i rozwoju malarstwa Meiera-Graefego, które skonstruowawszy, przymierza je następnie z całą ścisłością surowego krytyka do dzieł i rozwoju artystycznego Böcklina. Ocena ta da się podzielić na dwie części, czyli odpowiedzi na dwa pytania: pierwsze — czego w dziełach Böcklina nie ma? drugie — co w nich jest, a raczej czem one są?

III.

Mniej więcej około roku 1860 rozpoczyna się w życiu Böcklina, jako malarza, ów drugi okres, w którym dosyć szybko chociaż stopniowo następuje zupełna zmiana w jego sposobie tworze-

nia: dzieła w tym okresie pojawiające się, nie okazują nic z tego, co jest cechą jego jedności malarskiej w pierwszym okresie. Wprawdzie barwa jest tylko częścią jedności, jednak nadaje się najlepiej do porównania: otóż nie ma w tych dziełach owego rytmu barwnego, owej jednolitości molekuł barwnych, zlewających się w najdelikatniejszą całość, ani owych z pewną ostrożnością nakładanych dotknięć pendzla, tworzących razem misterną sieć wrażeń, które jakby z głębi wychodząc, zwolna na zewnątrz działają. Rysunek, koloryt, technika tworzenia, malowniczość, wszystko zmienia się teraz, tak, że wydaje się, jakbyśmy mieli z zupełnie innym malarzem do czynienia. Więc zapytuje się Meier-Graefe, czy może dokonała się w nim tylko zmiana jedności, czy dawniejsza jedność zniknęła, a nowa powstała? Lecz zkądże to bezwzględne przeciwieństwo w obydwu tych epokach?

W takim razie raczej przyjąć należy, że rozwój Böcklina w pewnym wczesnym okresie jego działalności artystycznej ustał zupełnie, jak zresztą i u wielu innych ludzi w Niemczech. Jako pierwszy dowód niech posłuży porównanie krajobrazu z r. 1855, zatytułowanego: „Starorzymska uroczystość majowa“, w Galeryi narodowej w Berlinie: z powyżej opisanym obrazem: „Centaur i Nimfa“. Zaniedbanie i osłabienie harmonii barwnej jest ogólnem wrażeniem tego obrazu o formach bardziej szorstkich. Cały rozwój Böcklina da się porownać z niecierpliwością grającego na fortepianie, który tem silniej uderza w klawisze, czem gra jego nieczystsza. Kontrasty są tu silniej naznaczone, lecz nie przeprowadzone. Jasność nieba czysto materyalna, tak, jak i ciemnia lasu, a jak w obydwu tych masach do siebie, tak i w obrębie nich brak pośredniczącego ustopniowania, i ztąd działają, jak bez życia i ruchu. Las jest na jednym i drugim obrazie ciemny, lecz w jednym głębia i przejrzystość, w drugim płaskość i martwota. Święto majowe jest wprawdzie barwniejsze, niż obraz dawniejszy, lecz chyba w tem znaczeniu, iż można się w nim więcej barw doliczyć. Silnie bardzo odcina się i razi dotkliwie niezharmonizowany z otoczeniem silny kolor czerwony na grupie tańczących pod lasem. Przytem Böcklin starał się tę grupę tak uwydatnić, jakby ona była nie częścią obrazu, lecz czemś osobnem, odrębnem, jakby obrazem w obrazie, co szkodzi również rytmiczności całego obrazu.

Te same typowe błędy wykazują wszystkie obrazy Böcklina z galeryi Schacka w Monachium i żaden z nich nie wytrzymuje porównania z krajobrazem z r. 1855. Te same braki w tej lub innej formie wykazują inne obrazy Galeryi Berlińskiej, jak: Winiar-

nia rzymska. Pasterka z trzodą. Emaus. Morderca i furye. Pasterz przestraszony przez bożka Pana. Willa nad morzem i nawet jedno z najwcześniejszych i najlepszych dzieł Böcklina: Skarga pasterza. z r. 1865. Piękne szczegóły nie zastąpią w nich owej zupełnej harmonii barwnej, jaką odznacza się ów krajobraz z r. 1855 i kilka dzieł najwcześniejszej epoki.

Lecz jeżeli jeszcze wogóle powyższe obrazy należą w dziedzinę sztuki, to już zaraz dalszy, z r. 1882 pochodzący. obraz Galeryi Berlińskiej, a przedstawiający „Pustelnika". wskazuje coraz większy jej upadek. To jakby trzy zupełnie odrębne na jednem płótnie umieszczone pomysły do rozmaitych obrazów, Pustelnik, to osobny obraz, otoczenie dokoła chaty drugi, a aniołowie trzeci. Nic jeden z drugim nie ma wspólnego, brak wszelkiej harmonii barw. wadliwe rozdzielenie oświetlenia. a naturę tworzy tu chyba tylko rama obrazu!

Meier-Graefe porównuje tu Böcklina z zapomnianym już malarzem rodzajowym Knausem i podobnie jak u tegoż dopatruje się u Böcklina tych samych motywów w tworzeniu tego rodzaju rzeczy. Motywem tu nie jest sztuka malarska. lecz uczucie rodzajowe, chęć rozweselenia lub zasmucenia. wogóle tendencye, pochodzące z zewnątrz. a nie z duszy. nie z owej Kamery. będącej ogniskiem twórczości artystycznej. Wszystko to pochodzi z zewnątrz, z natury, z książki. lub własnego pomysłu. Owa jedność. owa indywidualna potęga twórcza nie ma tu nic do roboty: gdyż taki „naturalista", jak go Meier-Graefe ironicznie nazywa. bierze sobie rzeczy tak, jak mu się one przedstawiają i nie troszczy się wcale o duchowe przetworzenie. Po co się trudzić. po co wnikaniem w siebie, mozolną pracą duchową rozwiązywać problemy malarskie. gdy tak wielka pokusa prostego i taniego załatwiania się z temi sprawami! Przecież tak łatwo o pomysły scen wesołych lub wzruszających! A linie i barwy są przecież wszędzie!

Na taką pochyłą drogę wstąpił Böcklin. I szedł na niej coraz dalej. gdyż właśnie dzieła z epoki jego największej popularności. dzieła. niezrównaną potęgą pomysłowości wzbudzające jak największy podziw. już z prawdziwemi dziełami sztuki nie mają nic wspólnego i stanowią do nich takie przeciwieństwo, jak dzień z nocą. Wszystkie słynne dzieła z tej epoki, jak: „Kraina szczęśliwych" („Die Gefilde der Seligen"). „Pieta", „Wyspa umarłych", „Gra fal". „Milczenie w lesie" są jeszcze gorsze. jak „Pustelnik", „Majowa uroczystość" i obrazy z galeryi Schacka. Właśnie ową popularność niesłychaną. ów zachwyt tłumów wywołało nie co in-

nego, jak ta nadzwyczajna pomysłowość, to bogactwo alegoryj i symbolów, które występują już nawet w seryi jego portretów, jak zwłaszcza w owym autoportrecie ze szkieletem. Portrety te, jak wszystkie inne jego dzieła, ulegają temu samemu losowi, t. j. są coraz banalniejsze pod względem wewnętrznej swej wartości, pod względem malarskim coraz gorsze i tylko wzbudzające zainteresowanie u widzów różnymi dodatkami, symboliką, pobudzającą ich do myślenia, chociaż te myśli ani ich polepszyć, ani uszlachetnić nie są w stanie.

* * *

W pewnej szkole realnej odbywa się piśmienny egzamin dojrzałości. Temat zadania matematycznego już rozdany: abituryenci siedzą w ławkach i pilnie pracują. Jeden z nich w pierwszej ławce szczególnie pilnie pracuje — już cały arkusz zapisał cyframi i zarysował figurami geometrycznemi. Lecz ta praca tylko dla oka nauczyciela nadzorującego. W istocie wszystkie te cyfry i figury nie mają najmniejszego związku z tematem. W danej chwili uczeń ten otrzyma gotowe wypracowanie, a brulion swój zniszczy, gdyż zawierał on tylko luźne cyfry, spisane poprostu dla omylenia czujności nauczyciela, który z daleka miał złudzenie prawdziwości.

Mimo zastrzeżenia co do zarzutu świadomości działania, takiem porównaniem charakteryzuje Meier-Graefe swój niezwykle surowy sąd o działalności artystycznej Böcklina w drugiej epoce jego życia.

IV.

Czemże więc Böcklin był w sztuce, a czem wogóle w kulturze niemieckiej? Czy był wogóle czynnikiem dodatnim? Pozostawiając ostateczny sąd historyi, już dziś jednak twierdzi Meier-Graefe, że czas z takiemi połowicznemi wartościami obejdzie się bezwzględnie i strąci z piedestału, na który je wzniosła bezkrytyczna społeczność, skoro tylko ich prawdziwe znaczenie zostanie poznane i ocenione.

Chociaż bowiem o harmonii barwnej w jego dziełach nie ma mowy i tylko surowy materyał mamy przed oczami, to jednak

nawet w najgorszych jego utworach, jak n. p. w „Krainie szczęśliwych“ lub „Pieta“, widzimy chociaż słabe usiłowanie jakiegoś rozdziału barw, a tu i ówdzie udaje mu się liniami powiązać ze sobą masy w jakiś wzajemny stosunek. Pewnych zdolności odmówić mu nie można. Böcklin pracował z wielką gorliwością i wiedzą: często już gotowe obrazy niszczył i na nowo je rozpoczynał, szczególniej był dbałym o trwałość i świetność barw i badał i naśladował przepisy starych mistrzów. Lecz wszystkie te środki nie były wcale cząstkami jego duchowej jedności, lecz tylko środkami reprodukcyi rzeczy gdzieś widzianych, lub obmyślanych, które umiał następnie wyrazić z wielką dokładnością w najdrobniejszych szczegółach. Łuski rybie na ciele potworów morskich, kudłate uszy Pana, sierść trytonów, złośliwy uśmiech na twarzy półbożków, cały ten świat bajeczny centaurów, nereid i nimf, a do tego wzburzone i o skały rozbijające się fale morza, samotny brzeg i krajobraz — wszystko to umiał oddać z ogromną wiernością, z realizmem, zupełnie przypominającym późniejsze dzieła Menzla. — Tak samo jednak, jak nie można zrozumieć treści obrazów Menzla z epoki, gdy już był malarzem nadwornym i rysował sceny z życia Fryderyka Wielkiego, gdy się nie ma w ręku książki o tych czasach, tak samo nie można zrozumieć obrazów Böcklina bez kombinacyi i bujnej fantazyi. Dziełom Menzla jednak, przy całej banalności ich treści nigdy nie brakło prawdziwie estetycznej wartości, i tylko to dziwne i charakterystyczne, że im bardziej był bliskim książąt, tem bardziej obcym stawał się ludowi niemieckiemu. Böcklin przeciwnie, czem gorsze tworzył obrazy, czem bardziej tylko obliczone na uwiedzenie laika siłą wrażenia, a chociaż pozbawione artystycznego smaku i wartości, tem bardziej stawał się popularnym.

Z oburzeniem też woła Meier-Graefe słowami Horacego:

Odi profanum vulgus et arceo!

Zaraz po śmierci Böcklina w r 1901 i 1902 ukazały się dwa dzieła o tym mistrzu, niezwykle ważne z tego powodu, że stanowią one właściwie kronikę życia i działalności Böcklina z drugiej epoki jego życia [1].. Zawierają one niemal dosłownie spisane całe ustępy z dyskusyi Böcklina o sztuce, prowadzonej ze swymi przyjaciółmi i kolegami w swoich pracowniach włoskich.

---

[1]) Rudolf Schick: „Tagebuch Aufzeichnungen über Arnold Böcklin“. 2-te Auflage. Berlin 1902. str. 430.

Gustaw Floerke [1] (1846—1898), niegdyś profesor historyi sztuki w Weimarze, poznał się z Böcklinem w r. 1881 we Florencyi i następnie przez szereg lat był prawie nieodstępnym jego towarzyszem we Włoszech, w Zurychu i Monachium. Jego charakterystyka Böcklina przedstawia nam artystę o nadzwyczajnej wyrazistości która też jest i cechą główną dzieł Böcklina. Dowiadujemy się, jak z powodu swej otwartości w sądach o drugich, swojej prostoduszności szwajcarskiej i niewybredności w wyrażeniach miał wielu zaciętych nieprzyjaciół wśród kolegów malarzy. Niemałą też rolę odgrywała także tak zwykła w tych kołach zazdrość z powodu z roku na rok coraz bardziej rosnącej wziętości i popularności Böcklina.

Jeszcze więcej szczegółów i bardziej wiernie, bardziej objektywnie przedstawionych, zawiera dzieło Rudolfa Schicka, który jako malarz bawił w latach 1865—1869 we Włoszech i w bezpośredniej codziennej pozostawał styczności z Böcklinem. Wszelkie zagadnienia, odnoszące się do sztuki wogóle, a szczególniej do malarstwa, zapatrywania Böcklina na wszelkie kierunki i zasady malarstwa tak pod względem estetycznym, jak i technicznym są tam przedstawione kronikarskim, chronologicznym sposobem.

Obydwa te dzieła, uzupełniające się pod niejednym względem, stanowią wyborną biografię Böcklina i dają możliwie wierny obraz jego osobistych zapatrywań na sztukę, więc też Meier-Graefe nie mógł tych dzieł pominąć, lecz chcąc swój potępiający sąd uzasadnić, musiał w nich szukać dowodów swego twierdzenia.

I tu już muszę zaznaczyć, co mię pod względem metodycznym uderza: Meier-Graefe nie bawi się wcale w polemikę z entuzyastycznym tonem i prawie bezwzględnem uznaniem obydwu tych autorów dla Böcklina, lecz w całej drugiej części swego dzieła właśnie na podstawie cytatów, ze słów i zdań Böcklina, przytaczanych przez nich, konstruuje swoje dalsze sądy i wnioski, dające się streścić następująco:

1. Böcklin błędnie pojmował istotę sztuki malarskiej, on obmyślał (er konzipierte) tylko pierwszy zarys obrazu na płótnie i tylko do tej chwili był istotnie malarzem, w naturalny sposób posługującym się swoją techniką. Wszystko dalsze było zupełnie odmienną czynnością, nie było to malowanie z myślą naturalnego rozwoju takiego ukształtowania całości, żeby niem

---

[1] Gustaw Floerke: „Zehn Jahre mit Böcklin. Aufzeichnungen und Entwürfe“. 2-te Auflage. München 1902, str. 259.

objąć wszystkie istotne części dzieła, lecz tylko pomalowanie pierwszego pomysłu (ein Bemalen des ersten Entwurfs). I nie troszcząc się już wcale o dzieło sztuki, jako takie, całą swoją usilność poświęcał Böcklin, aby osiągnąć jak najwspanialszy i najświetniejszy efekt barwny. I w tym względzie badaniem praktycznem, nadzwyczaj skrupulatnem wszelkich sposobów malowania, począwszy od fresków starożytnych, osiągnął istotnie nadzwyczajne wyniki. Na tem polu był nawet wynalazcą i doprowadził nietylko do nowych sposobów utrwalania barw, lecz umiał wydobywać w nich blask olśniewający. Środki malarskie jednak nie mogą być celem sztuki i dla jedności artystycznej tworzenia żadnego znaczenia nie mają lub tylko bardzo podrzędne. I w tem był błąd zasadniczy.

II. Tak obniżywszy samą istotę i zasadę sztuki malarskiej w jej twórczym początku, szukał następnie Böcklin w najrozmaitszych technikach malarskich, jakoteż w dawniejszych pojęciach o sztuce takich myśli i sposobów, któreby najbardziej odpowiadały jego potrzebie i pojmowaniu rzeczy. Rembrandtem pogardzał z powodu rzekomego braku wszelkiej malowniczości w jego obrazach, ograniczających się jedynie do kontrastów światłocienia; wielkich mistrzów cinquecento uważał tylko za słaby odblask starożytności i wreszcie jako najbardziej zadaniom sztuki odpowiedni, uznał fresk starożytny i jako osiągnięcie najwyższego celu w sztuce, silne dekoratywne oddziaływanie. Tak brnąc coraz bardziej w tym błędzie, wytworzył sobie zwolna całą b ł ę d n ą o r g a n i z a c y ę m a l a r s k i e g o t w o r z e n i a, której trzy główne cechy, t. j. trwałość i świetność barw, wyrazistość mas w kompozycyi i mniej więcej fizycznie uzasadniony silny kontrast barwny, stanowią wybitne znamiona wszystkich dzieł Böcklina z okresu jego popularności.

III. Böcklin jest właściwie tylko reżyserem, który ludzi i rzeczy przez siebie pomyślane ustawia na swoich obrazach, jak na scenie, i w tym względzie bardzo zbliża się do angielskich prerafaelitów. Podobnie, jak u nich, obrazy jego nie wypowiadają własnych myśli, są one tylko reprodukcyą rzeczy prawdziwych lub wymyślanych, tylko u prerafaelitów, stosownie do angielskich obyczajów, bardziej umiarkowanych. Różni ich od niego chyba tylko pewien im właściwy styl, zresztą jednostronny i bezduszny. O w a t e a t r a l n o ś ć, występująca zresztą i u innych, zdaniem Meiera-Graefego, niskiej wartości malarzy, jak Burne-Jonesa, Watta, „najgorszego z najgorszych“ Waltera Crane i Almy Tademy, — j e s t d a l s z ą g ł ó w n ą c h a r a k t e r y s t y k ą o b r a z ó w B ö c k l i n a. Dziwi się Meier-Graefe, dlaczego nie przyjął zamówienia na malo-

wanie dekoracyj do oper Wagnera, którego muzykę uważa tylko jako śpiewany dramat, nie mający z istotą prawdziwej opery nic wspólnego i pozbawiony twórczego elementu, jako taki sam błąd w sztuce i kulturze muzycznej, jak działalność artystyczna Böcklina w malarstwie. Publiczność, zapełniającą teatry na operach Wagnera, nazywa Meier-Graefe „niepięknie" — przeklętą hordą dzikich.

Michał Lityński.

(Dokończenie nastąpi).

Pierwiastek autobiograficzny w poezyi polskiej XVI. w.

(Dokończenie).

Pewną także, choć już bardzo skromną autobiograficzną wartość posiadają liczne nazwiska, rozrzucone, jakby makiem siał, po dedykacyach, przedmowach, napisach, lub nawet w samym toku wierszy. Dla biografa i one mają niepoślednie znaczenie, jak wogóle każdy by najmniejszy szczegół, mogący rozjaśnić jakąś ciemną stronę, bo biograf odkrywa z nazwisk stosunki, jakie między osobami zachodziły: więc stosunek ucznia do mistrza, klienta do mecenasa, stosunki serdeczne przyjaźni lub miłości (por.: Dod. V.). Ale dla nas są to już najdrobniejsze okruchy rzeczowego materyału, — niewiele ztąd światła spłynąć może na indywidualność poety.

Prawdziwym inwentarzem nazwisk oczywiście jest „Zwierzyniec" Rejowy. Bez mała podobną liczbę imion spotykamy we „Fraszkach" i w „Foricoeniach" Kochanowskiego, — a jakże wielka między nimi różnica nawet i pod tym względem: Rej wspomina dobrodziejów swoich: król. Bonę, Odrowąża, Szafrańca, — wspomina możnych potentatów różnowierstwa polskiego: Myszkowskich, Opalińskich, Ostrorogów, Radziwiłłów, Stadnickich, Zborowskich, — a w znikomej ilości tylko przyjaciół i krewnych. Kochanowski zapełnia księgi fraszkami do „dobrych towarzyszów": Ję-

drzeja Nideckiego. Stanisława Fogelwedra, Stanisława Porębskiego. Jędrzeja Dudzicza. Rej pisze o swych potentatach dla nich samych. Kochanowski — do swych towarzyszów tylko dla siebie. Tamtych wprowadziła do „Zwierzyńca" godność własna, oni uświetnili poezyę Rejową; — tych umieściła we „Fraszkach" wielkość poety — on ich obdarzył swoją świetnością i podniósł do wysokości przedmiotu. godnego poezyi. W miarę wspanialszego rozwoju indywidualności poety wdzierał się do poezyi coraz liczniejszy. szary tłum jego przyjaciół. wypierając możnych i wielkich tego świata, którzy dotąd jedynie byli godni rymów.

I otośmy już roztrząsnęli prawie wszystko, co poeta mówi o sobie w poezyi XVI. w., prawie wszystko. bo pozostała jeszcze jedna niemało ważna kwestya do zbadania. Widzieliśmy już nieliczne autobiografie poetyckie. zbieraliśmy skrzętnie rozsiane między wierszami napomknienia. wzmianki, uwagi poety o sobie, jego wspomnienia — aż do najdrobniejszych autobiograficznych okruchów; ale nie podjęliśmy jeszcze jego osobistych wynurzeń miłosnych. Autobiograficzna erotyka zupełnie odrębny dział stanowi w zeznaniach osobistych poety i odrębnej też wymaga uwagi.

Wiele bo też błędów i przesady wkradło się do krytycznej oceny miłosnych wynurzeń poety. Masłowski [1]) rozpisuje się szeroko na kilku kartkach o rzekomej szczerej miłości do poety. o szlachetnym charakterze i uczciwości jakiejś Elżusi, z której imieniem spotykamy się w 3 epigramatach (8. 9. 22) Janickiego. Władysław Ćwik [2]) usiłuje odtworzyć historyę. a właściwie: historye kilku miłostek Sępa Szarzyńskiego, na podstawie kilkunastu erotyków poety. ich rozwój, czasowe następstwo, a nawet możeby i bohaterki pragnął z imienia nazwać. Biografowie i krytycy opierają się na wątłych podstawach. na niejasnych. mglistych powiedzeniach poety, — niedaleko szukać. choćby nawet Chlebowski [3]) ze słów Kochanowskiego:

---

[1]) „De vita et poesi Cl. Janicki". Wrocław 1857. str. 35 i n.

[2]) Wł. Ćwik: „Mikołaj Sęp Szarzyński" („Pamiętnik liter.", VI. r. 1907, str. 292—5).

[3]) Wedle Chlebowskiego („Pisma", t. II., str. 191—9) miłość do Hanny Tarnowskiej stwierdzają: pieśń I., 7; II., 2, wiersz do Jędrzeja, dwuwiersz o pierścieniu, wiersz do obłudnej kokietki. O śmiałości tego przypuszczenia patrz: Pilat: „Historya poezyi polskiej". t. II., cz. I. str. 215.

„...czyś tak rozumiał nieboże,
Że czernie inszy owoc niż tarnki dać może?“
(„Fraszki“, III., 20).

i z paru jeszcze podobnych drobiazgów snuje przypuszczenie, że nieszczęśliwą miłością poety była Hanna Tarnowska, córka Spytka, podskarbiego kor., — na mgłach i dymach słowa budują biografowie i krytycy gmachy przeróżnych domniemań: dziwno li komu, że nietrwałe?

Żeby się choć trud opłacał, żeby z wysiłków podejmowanych mogło spłynąć nowe światło na osobę poety i znaczenie utworu. Naturalnie, gdy istotą kochaną jest kobieta niepospolita, indywidualność silna, a przynajmniej mogąca wywrzeć wpływ istotny na ducha poety — p. George Sand dla Musseta, p. Bobrowa, czy Delfina dla Krasińskiego, — wtedy sprawa jest jasna: ale zwykle bywa inaczej — ot, jak w życiu. Wiadomo, uczucia erotyczne luzem sobie chodzą obok właściwości i potrzeb umysłu i serca: niekiedy aż dziwaczne rodząc połączenia, zwykle zaś tylko banalne, nieciekawe. Poeta wyjątku nie stanowi, owszem, najczęściej pierwsze naszej tezy stwierdzenie. Wtedy mniej ważny jest przedmiot miłości, — waży uczucie samo. Pocóż nam wiedzieć, kim były te Zosie Anusie, Kasie Szarzyńskiego, Diamanty, Lidye Krzyckiego, Grinee — Dantyszka, Elżusie — Janickiego, — skoro niewątpliwie różniły się między sobą jeno splotem włosów jasnych, czy kruczych, wejrzeniem ognistem, czy omdlewającem, płcią smagłą, czy liliową, postawą, chodem, głosem srebrzystym, czy miękkim, matowym, a wreszcie charakterem mniej lub więcej łagodnym i oddanym, czy krnąbrnym, despotycznym, bo że wszystkie były kapryśne i wietrzne istoty, o tem wiemy napewno, jakoteż, że były zapewne młode i ładne. Rzecz znowu inna, gdyby ktoś chciał dla Kachny lub Anusi zdobyć sławę Laury (Petrarka wiedział dobrze, że swą miłością unieśmiertelnia kochankę, — zresztą taka to i miłość była, dla sonetu); wtedy wysiłki jego miałyby cel jasny i wynik niewątpliwy, ale musiałby w imieniu Kachny występować, nie poety, dla którego — dalibóg, wszystko jedno — Zosia, czy Anusia.

W miłosnych zeznaniach poety można wyczytać historyę jego uczucia. W erotykach Szarzyńskiego wyraźnie parę faz występuje: poeta sam już kocha, uświadomił sobie jasno treść swoich wzruszeń i drgnień serca, ale dręczy się niepewnością, nie wie, czy jest kochany, narzeka na nieczułość lubej i pragnie ją roztkliwić

obrazem swych cierpień [1]; poczem już wzajemność uzyskał. jest szczęśliwy. rozkoszuje się wspomnieniem ukochanej. jej piękności, sławi jej wdzięki. lubuje się nią i przedłuża w pieśni chwile rozkosznych spotkań [2]. Aż nagle pojawiają się chmurki na jasnem niebie. — poeta zaczyna wątpić w szczerość uczucia. w prawdę ukochanej, widzi się zwodzonym, przeczuwa zdradę. Obłoki nabierają barwy chmur gradowych, — poeta wybucha goryczą zawiedzionych uczuć, przeklina. pogardza i odchodzi [3]) — niekiedy, żeby wrócić i słodkiego zaznać pojednania. niekiedy, żeby śmierci szukać, która jedna może zakończyć okropności nieznośnego życia, aż nowa miłość wyleje balsamy na nieutulone w żalu serce. Tyle wyczytać można z erotycznych wynurzeń poety. ale więcej — zaiste — chyba przy dobrej tylko woli.

Cała obfita poezya miłosna Kochanowskiego, oplatająca w śliczne, różnobarwne wieńce imiona: Lidyi. Hanny, Bogumiły. Jadwigi, Anny, Nety, Reiny, Magdaleny. Zofii, Doroty. — o tem tylko jasno świadczy, że poeta kochał i kochał nie jeden raz tylko [4]. Dantyszek wyraźnie mówi o nadmiernej czułości swego serca. a że mówi w wieku dojrzalszym, żal z jego słów przebija za stygnącym powoli żarem namiętnym:

„Niegdyś szło mi to gładziej! młodzieniec gorący
Sam wpadałem w Cyprydy ogród czarujący,
Święte kadzidła sypiąc na ołtarzu Pafii.
Dzisiaj siła wątleje i włos koło skroni
Srebrzy się...“ [5])

(Tł. Siemieński, str. 12 op. cit.).

Jeśli miłosne wyznania poety mają autobiograficzne znaczenie, to mają nie dla niego, dla poety. ale dla kochającego serca.

---

[1]) „Fraszka do Zosie“ LIX.; „Frasunk“ LX.; „Fraszka do Zosie“ LXI.: „Do Kasie“ LXVI: „Do Kasie“ LXXI.; „Do Kasie“ LXXII

[2]) „Do Zosie“ LXIII., „Do Anusie“ LXIV., „Do Anusie“ LXXVI.

[3]) „Do Anusie“ LXIX., „Frasunk do Kasie“ LXXIV., „Do Kasie“ LXXVII

[4]) Por. St. Dobrzycki: „Pieśni Kochanowskiego“. Kraków 1906, str. 83.

[5]) „Ad Grineam“:

„Olim nil grave erat iuvenis dum fervidus ultro
Quaesivi Cypriae mollia regna Deae
Inque papho sacra thura focis arisque virentem
Myrtum, cumque rosis, lilia mixta dedi“ (str. 57).

które nam swą historyę opowiada. Uczucie wyznaje swe dzieje, jak powstało, jak wzrosło, jak zakwitło, — stare dzieje znane, widywane, powtarzane. Na poetę więcej ztąd nie spłynie światła, jeno, że wyhodował uczucie w swem sercu.

A zresztą i tu powstają nowe wątpliwości.

Wierzę ja Krzyckiemu, gdy skarży się na pustki w mieszku, wierzę Janickiemu, gdy rozpacza nad swem wątłem zdrowiem, wierzę Kochanowskiemu, gdy narzeka na niewdzięczność pańską, — ale trudno mi dać wiarę, gdy zapewnia, że gdy nie widzi kochanki, to jakoby słońce nie świeciło, że jeśli go ona łaskawymi względami nie obdarzy, to zginie marnie, a jeśli się w jej stałości nie upewni, to zgryzota wtrąci go w śmiertelną niemoc. Wiele jest słów tylko, bardzo wiele, w miłosnej poezyi.

Wiadomo dziś, że elegie łacińskie Kochanowskiego, opiewające miłość Lidyi były dlań przedewszystkiem ćwiczeniem w trudnej sztuce przelewania w słowa uczuć prawdziwych, czy rzekomych. Tak sławi n. p. poeta wdzięki kochanki i szczęście, jakiego doznaje w jej miłości (El., I., 6); w niej widzi swą najwyższą radość i wyżej nad wszystkie skarby sobie ją ceni (El., I., 12). W chwilowej nawet rozłące cierpi niewymownie i tęskni niespokojny (II., 5); wymawia kochance obojętność, gdy ta opóźnia przybycie (I., 10), zarzuca jej niestałość (II., 6). Wszystko to tematy konwencyonalne, właśnie znakomite dla początkującego poety, jak gamy i pasaże dla niewprawnej ręki. Zapewne, nie mamy powodu przypuszczać, że Kochanowski, pisząc swe elegie, nie przeżywał rozkosznych uniesień miłosnych, nie brakło chyba w Padwie uroczych i ponętnych cortezan, — może nawet podążał za jaką wabną Circe do jej podmiejskiego ustronia (El., I., 13), — ale jeśli miłość pomagała poezyi, to niewątpliwie i poezya pobudzała także do miłości, a Lidya w każdym razie była postacią raczej symboliczną.

Odbijają się w erotycznych utworach poetów ich miłości i miłostki, — ale nic więcej ponadto naogół przynajmniej. W poezyi Krzyckiego: „Epistola ad Diamantam“ (Corp. ant. poet., I., str. 202), „De spe sua“ (ib., 216), „De amore suo perpetuo“, „De amore conqueritur“ (ib., 211), — jeśli utwory te niewiele mówią o samej kochance i wyłącznym tylko do niej stosunku poety [1], to za to bardzo wymownie świadczą o bujnych zmysłach autora,

[1]) Por. Droba: „O poezyach Krzyckiego“ („Przeglad polski“, 1879, I.).

a spora garść wyuzdanych epigramatów już nawet o nieposkromionej lubieżności, — jak sam na to narzeka:

„Dissideo votis quam miser ipse meis...“ [1])

Może nawet ten i ów moment w erotykach jest wiernem wspomnieniem rzeczywistego przeżycia: Dantyszek unieśmiertelnił swe pożegnanie z Grineą:

„Zarzuciłaś mi z płaczem na szyję ramiona,
Przytulając do serca i łono do łona:
Pałające twe lica łez rosą się myły..
I mnie również, jak tobie, łzy się z óczz puściły —
Wtedy dłoń z dłonią, usta zbiegły się z ustami,
I obojeśmy rzekli: „Żegnaj mi — Bóg z nami!“ [2])
(Tł. Siemieński, str. 11).

Grinea podobno istniała i była nią dama hiszpańska, znana z imienia nawet Dantyszek, wyjeżdżając z Hiszpanii, niewątpliwie taką właśnie scenę pożegnania przeżył, ale — pytamy raz jeszcze — i cóż ztąd, jakież nowe ztąd światło spływa na osobę poety? Poeta, jeśli kochał, więc cieszył się obecnością kochanki, rozkoszował jej wdziękami, smucił rozstaniem; gdy wyjeżdżał, więc żegnał się z nią, a tem czulej, że na zawsze, — wszystko to są nieodłączne objawy miłości i tak konieczne, że poeta kochał, a kochał namiętnie i niestale.

Ale bywają także utwory erotyczne, które mają już więcej autobiograficznej wartości, bo nietylko już samo wogóle uczucie, ale i dane, indywidualne uczucie ma w nich swoje znaczenie. W poezyi miłosnej Kochanowskiego odrębne miejsce zajmują elegie, związane imieniem Pasiphile. — Tu poeta w uczuciach swoich dojrzał; nie jest już tym wietrznikiem, który w godzinie przeżywa całą miłość. Sam ton ostrzega, że spowiada się przed nami ze statecznego, istotnego uczucia:

---

[1]) „De furore suo“ (v. 2, op. cit. str. 211).

[2]) W oryginale:

„Strinxisti cupidis, lacrimans mea colla lacertis,
Pressistique meum pectus ad usque tuum.
Immaduere tuae rovanti luminae malae!
Nec minor in nostras decidit unda genas,
Inmittus dextrae dextram, dehinc labia labellis,
Iunximus et tristi diximus ore, Vale!“ (Ad Grin., str. 56).

„Non me Sidoniis intestum vestibus aurum
Aut pelago cepit gemma reperta rubro:
Sed facies nullo externo quaesita colore,
Moresque ingenui purpureusque pudor."
(El., III., 12: v. 35—8).

Krytyka od czasów Przyborowskiego ustaliła, że elegie te pisane są do przyszłej żony, Doroty Podlodowskiej, — istotnie spotykamy tu wzmianki, świadczące o małżeńskich intencyach poety:

„Tu domui praesis, tibi res mea serviat uni
Quantulacunque quidem est serviat illa tibi...
Tecum nec duro glebas invertare aratro,
Nec grave pascentes sit comitare greges:
Tecum, Pasiphile, liceat mihi vivere et olim
In gremio vitam deposuisse tuo..." [1]
(El., III., 1: v, 37—8, 43—4, 40—50).

Rzecz charakterystyczna, gdy Dorota została żoną poety, przycichła na jej cześć dotąd brząkająca lutnia Kochanowskiego, — choć serdecznych uczuć dla żony poeta nie stracił, jak wnosić można z ubocznych wskazówek [2]).

Żony widać nie mają przywilejów kochanki, pomija je milczeniem złotowłosa Erato; jakoś cicho o żonach między poetami [3]), —

---

[1]) Por. też pisaną do Pasiphile (El., III., 3), gdzie prosi ją o wzajemność. — Pieśń XI. panny w Sobótkach, wysławiającej piękność Doroty, — najwyraźniej kieruje poeta w stronę swej przyszłej żony, dodając na końcu od siebie:

„Przeto cię me głośne strony
Będą sławić na wsze strony" (v. 31—2).

[2]) We Fraszce (III., 77) do Mikołaja Wolskiego, wyrzeka się miłych odwiedzin, gdyż go:

.....niewiasta smutna trzyma, której gdy drogę
Wspomionę, wnet twarz blednie..."

W pieśni II., 20 odmawia sobie przyjemności pogawędki przyjacielskiej z Myszkowskim, bo nie chce swą nieobecnością żony kłopotać. Objawy wielkiej co najmniej delikatności uczuć.

[3]) Wyjątkowo Joachim Bielski:

„Zaledwo zbrojno próg domu przechodzę,
Moja mi Anna stanęła na drodze...
. . . .

kto wie — może dla głębszych, dziś niedocieczonych przyczyn — nie wszyscy wszak bywają tak otwarci, jak mistrz Marcin Bielski.

Poezya erotyczna, nawet gdy jest tylko ćwiczeniem literackiem, jedno rzuca niewątpliwe światło na indywidualność poety XVI. wieku: na jego bujną, zmysłową naturę, łaknącą cielesnych uciech, aż do granicy wyuzdania. I nie dziw, wszak to ludzie Odrodzenia, pijący z pełnych puharów niepojętą rozkosz życia.

Na jedno jeszcze pragnę zwrócić uwagę: oto niekiedy utwór samem istnieniem swojem stwierdza jakieś przeżycie, czy fakt, zdarzenie z życia poety: „Proporzec“ wyraźnie świadczy, że Kochanowski był na Sejmie Unii lubelskiej i że hołd pruskiego księcia własnemi oglądać musiał oczyma. „Treny“ jakimże wspaniałym są wyrazem ojcowskiego bolu po utracie ukochanego dziecięcia. Nie wspominaćby nawet Kochanowskiego po tylekroć i tak wyraźnie, czyją śmierć opłakuje [1], a poznalibyśmy wszyscy bez wyjątku, że to ojciec nieprzepomniane dzieciątko płacze.

Ale na tej uwadze stańmy, póki czas, bo ta droga zadaleko wiedzie. Gdy poeta moment własnego życia przetopi w ogniu uczuć i wyobraźni twórczej, staje się cud, nieznany alchemikom całego świata — podły kruszec, bryła ołowiana rzeczywistości przeradza się na najszlachetniejsze złoto prawdziwej poezyi: to tyle, co węgla upatrywać w dyamencie. Poezya, zrodzona z przeżyć, — to już

Tak na mej szyi zawisła w tej chwili.
Z nią niemowlęta, synaczkowie mili,
Na rękach Stefan, a mały Jaś bieży
Przy jej odzieży...“
(Oda XII.: tł. Syrokomla, IX., str. 363).

[1]) W każdym niemal trenie wyraźna wskazówka:

„Mnie płakać mej wdzięcznej dziewki pomóżcie.“
(I., v. 6).

„Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny.“
(II., v. 9).

„Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona.“
(II., v. 1).

„Żem widział umierając wdzięczne dziecię swoje“.
(IV., v. 2).

„Tak ci się mej najmilszej Orszuli dostało“.
(V., v. 9; VIII., v. 1—2; XII. 1—2 itd.).

Za przykładem Kochanowskiego poszedł Tobiasz Wiszniowski, pisząc Treny na śmierć matki: „Pobożnej a szlachetnej Pani Róży Wiszniowskiej...“ (wyd. Turowski, Kraków 1858).

nie autobiograficzny moment, — to raczej objaw subjektywizmu twórczego, — a naszą granicą wszak jest tylko autobiografia.

Wstecz teraz za siebie spójrzmy.

Indywidualność zbiorowa poetów XVI. wieku w autobiograficznych poetyckich wynurzeniach przedstawia się naszym oczom niby indywidualność młodzieńcza. Pełno tu wrzawy, hałasu o sobie, pełno niezrównoważenia, niekonsekwencyi. Wysokie mniemanie o swem dostojeństwie poety, niezawsze uzasadnione, obok służalczości dworskiej i bicia pokłonów możnym. Wspaniała w swej sile żądza użycia wszystkiego: miłości, bogactw, — użycia za wszelką cenę, a obok zupełny brak odporności na złą dolę, brak hartu wobec cierpienia, ubóstwa, choroby. Jawny egoizm jednostki, stawiającej siebie nad wszystkich, brak wrażliwości na swe obowiązki społeczne, jedynie poczucie serdeczne jedności plemiennej, a nadewszystko stanowej, i ukochanie rodzinnej ziemi. Przytem rys szczerości w objawianiu uczuć i wdzięcznej wobec dobrodziejów pamięci, nawet przywiązania do nich; przyjacielskość, łatwość w obcowaniu — oto najwybitniejsze cechy zbiorowej indywidualności poetów. o ile się utrwaliły one w autobiograficznych wzmiankach.

Z pomiędzy tych postaci. tak do siebie w ogólnych zarysach podobnych, wysuwa się parę indywidualności swoistszych. pełniejszych i oryginalniejszych, — czy dzięki dokładniejszemu rysunkowi autoportretów — nie przesądzajmy; są to: Dantyszek. Janicki, Marcin Bielski, Kochanowski i Stryjkowski, — może jeszcze Andrzej Zbylitowski. jako rzecznik upodobań ziemiańskiej braci szlachty.

I oto już wszystko. Skromne okazały się przejawy indywidualności twórców XVI. wieku w autobiograficznym momencie. I nie dziw. Nie wystąpili przecież jeszcze pamiętnikarze polscy, którzy się dopiero w wieku następnym ruszą pod buławą Jana Chryzostoma Paska.

Dodatki.

I.

Cierpienia swoje fizyczne traktuje Janicki, jako temat wyłączny w Trist. II. i VII. (por.: Trist. II.:

„Dum patior cunctos quos febris amara, dolores
In possessa semel corpora ferre solet“ (v. 5 i n.)

Trist. VII., v. 79 i n., 93 i n., 143 i n.). W inne elegie: Trist. I., V., VI., X. wplata mniej lub więcej obszerne wynurzenia w tej mierze. — N. p. Trist. VI., Las. Bonamico:

„tu summos aegro medicos.. (v. 39 i n.).

Za to też im silniej odczuwał dolegliwości życiowe, tem wdzięczniejszem przyjmował sercem pomoc i opiekę. Dla Bonamica, który otoczył rozmiłowanego w nim ucznia troskliwą opieką w chorobie, niema dość gorących słów podzięki:

„Quod sum, quod vivo, patriam quod cerno, meosque
et mea, post Superos, muneris omne tui est“ (Tr. VI., 27).

Stosunek do mistrza, pełen uwielbienia niemal bałwochwalczego, maluje Var. El. VIII.: jemu — jak twierdzi Janicki — zawdzięcza też zapał swój do poezyi i całą twórczość:

„Nam si praeteream prudens, ut plurima, quod sum
Ingressus clarum te praeeunte, nemus...“
(Trist. VI., v. 11 i n.).

Lekarza Montanusa, który go we Włoszech ratował, obdarza gorącemi dziękczynieniami:

„Hic ego, te propter, vitam debebo, simulque
Patribus, Hadricas qui moderantur opes.
(Trist. IV., v. 53 i n.).

Dla krakowskiego Antonina ma cześć prawdziwą i niekłamane uczucie (por.: Trist. VII., v. 143 i n., Epig. 13). Podobny też jest stosunek Janickiego do jego możnych protektorow. Skarży się Janicki często na ubóstwo, maluje w czarnych kolorach kłopoty materyalne (Trist. III., Var. El. X.), apelując wprost do łaski pańskiej: tak prosi Kmitę o wysłanie go zagranicę w Var. El. VI. „Verecunde a Petro Kmita petit ut ei ad Italiam studia subsidio sit“ (por. też: Trist. VII., v. 78 i n.); o pomoc rychłą w kłopotach. Epigr. 51: „Laurus Janicii loquitur; Epigr. 52: „Ad Petr. Cmitam“. Nie musiały być rozkoszne dlań warunki życia, skoro nie waha się prosić o zasiłek pana na Jarosławiu, Stan. Sprowskiego (Var. El. VII. i X.). Za otrzymywane dobrodziejstwa obdarzał Janicki protektorów swych gorącą wdzięcznością: najszczerzej, zdaje się, pokochał Krzyckiego

„Funere patroni mea mens labefacta senescit
Quamlibet, in luctu, continuatque diem...
. . . .
Non sum, qui fueram, videor nunc alter, ab illo,
Esse mihi et tantum nominis umbra mei.“
(Var. El. VI, v. 11, 19).

por. też: Var. El. I., III. (v. 73 i n.). Ale w wiersze Janicki był skąpszy, niż w uczucie, ztąd wynikło niewątpliwie ochłodzenie stosunków z Kmitą i ostateczne ich zerwanie (p. Epigr. 59 i 63).

II.

Stosunek poety do poezyi oraz świadomość własnych sił twórczych wymagałyby osobnego studyum; materyał znalazłby się ciekawy i bogaty. Lecz zagadnienie powyższe w naszej pracy pod pewnym tylko, wysoce zacieśniającym horyzont widzenia kątem może być oglądane. Wynurzenia poety obchodzą nas o tyle, o ile zawierają świadomą ocenę własnych sił i zdolności, albo wyrażają zamiłowania i t. d. Szymonowicz n. p. oświadcza się z miłością do swej poezyi:

„Z wami na polu Muzy! bez kłopota
Nieznany starzec dokończę żywota.“

(„Wiejska szczęśliwość“, v. 95—6 — „Sielanki“, wyd. Węclewski, Chełmno 1864); por. też: Joachim Bielski: „Skarga na pewnego

Gdańszczanina". tł. Syrokomla, VIII., str. 323. – Paweł z Krosna wysoko ceni swe zdolności („Panegiryk na cześć św. Władysława" v. 667 i n.: „Nam mea grandisono..."). Janicki ma także uznanie dla siebie: „Dziś... Mógłbym na większe zdobyć się dzieło" (tł. Syrokomla, VIII., str. 34); por. też: Epigr. 52. gdzie mówi o swym wieńcu poetyckim:

„Non igitur poterit laurus quam primus ad Areton
Ipse tuli in tanto vivere nostra gelu..." (v. 13 i n.).

Podobnie i Stryjkowski, gdy mówi o swych „składnych rymach" (v. 96). Ale żaden z nich nie dorównywa Kochanowskiemu ani w śmiałej ocenie własnych sił, ani w szczytnem, majestatycznem pojmowaniu potęgi poety i poezyi. Nazywa się wyraźnie Kochanowski kapłanem sztuki:

„Musarum et claris cultos Apollinis" (Ode VI., v. 1).

także:

„Jane sacerdotem Musarum te esse memento" (Forie. 80).

A nie jest to tylko retoryczna forma. Kochanowski kapłaństwo swoje prawdziwie niby święty płomień nosił w sercu i znał swą moc do siebie, jak to z zapałem i wspaniałą siłą wyrazu głosi:

„Nam cum essem natus fortuna non ita in ampla
Nec dictatorum dicerer esse genus;
In genui tamen et Musarum munere clarum
Arctoo peperi nomen in orbe mihi.
Audiat hoc livor: Musarum ego munere claru
Arctoo peperi nomen in orbe mihi."
(El. X., ks. III, v. 11—16).

Zaś ono imponujące stwierdzenie własnej wartości nie z innego źródła płynie, jeno z gorącego ukochania i mocnej wiary we wszechwładną nad sercem ludzkiem moc poezyi:

„Wy mię [do Muz obraca mowę] z ziemie wzwodzicie,
[gdy mię wyłączacie
Z liczby nieznaczney y nad obłoki wsadzacie:
Skąd próżne troski ludzkie y niemęską trwogę,
Skąd omylną nadzieję y błąd widzieć mogę
Za wami idąc ani o bogate złoto,
Ani o perły, drogiey ceny dbam..."
(Muza, v. 23—8).

Zaiste, nie mógł się mylić ten, który „sobie śpiewał, a Muzom“, gdy proroczym jakgdyby duchem owiany, zapowiadał:

„Co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.“
(Ib., v. 15—16).

III.

Klonowicz bywał w Czechach (w Kromorowie r. 1570), bywał i na Węgrzech (w Pezinku r. 1560 — por. „Worek Jud.“, r. VIII.). Że pod koniec życia przebywał w Lublinie, o tem dowiadujemy się pośrednio z „Żalów nagrobnych na... J. Kochanowskiego“:

„Na mię płacz gościnnym prawem przyszedł,
[bo tu jaśnie
Zacny poeta gaśnie
W mojej sąsiedzkiej osadzie...“ (Żal VII.)

— jak wiadomo, Kochanowski zmarł na sądach w Lublinie (dnia 22 sierpnia 1584 r.).

Janicki o swym pobycie we Włoszech mówi często; zachwyca się n. p. pięknością Italii:

„Auribus atque oculis, nova sunt, quaecunque per omne
Sunt Latium, o magnis, terra, habitunda Deis!“
(Var. El. VII., v. 25).

Podoba mu się w Padwie:

„Certe ego, quod viro Patavina tempus in orbe,
In coelo videor vivere paene mihi.“
(Var. El. IX., v. 15).

W tejże elegii IX. „Petro Bembo“ wspomina, że już rok upływa, odkąd przybył do Włoch:

„Usque adeo celeri mihi se substraxit in ala
Annus hic, occulta surripuitque fuga“ (v. 9).

Andrzej Zbylitowski w orszaku Zygmunta III. płynął w roku 1594 do Szwecyi, co dwukrotnie w poemacie „Droga do Szwecyi“ zaznacza:

„A ja nieco wspomionę teraz piórem moim.
Jakośmy żeglowali nieraz z królem swoim
Do jego państw dziedzicznych z Sarmackiego brzegu,
Jakicheśmy użyli strachów w morskim biegu.“

(ks. I., str. 5).

„Ja też na ten czas z rytmy swojemi zostaję.
Tobie, o Urania, ofiary oddaję
Za to, żeś mi się dała na ojczystym brzegu
Oglądać i z morskiego odpoczynąć biegu.“

(ks. IV., str. 60).

Z gratulacyjnej elegii do Myszkowskiego (ks. III., str. 10) wynika, że Kochanowski przybywa z Litwy (od ks. Radziwiłła) do Krakowa, — bo płynął Bugiem:

„Idem me quoque amor trans flumen Bugis amoenum
Transque tuum, Vistula magna, tulit“ (v. 5—6)

i takich wskazówek wieleby znalazł skrzętny biograf między wierszami poetów XVI. wieku

IV.

Choć „Wieśniak“ i „Żywot szlachcica“ Zbylitowskiego są niewątpliwie obrazem własnego życia, własnych zajęć gospodarskich i rozrywek, — to jednak trudno przeceniać autobiograficzną wartość opisów autorskich. Nie wątpimy, że na ogół pędził Zbylitowski zapewne takie, jak opisuje życie — ale też nie możemy wątpić, że podobnie żył każdy szlachcic polski. Życie Zbylitowskiego składałoby się z wydarzeń tak bardzo powszechnych i powszechnie przeżywanych i obejmowałoby szczegóły tak w najdrobniejszej mierze zgodne ogólnie, że ledwoby jego własnem życiem mogło być zwane, tak bardzo byłoby typowem dla życia szlacheckiej braci. Jeśli w utworach jego mieści się autobiografia, to chyba autobiografia szlachcica polskiego, którą najpełniej zawarł w prozie „Żywot“ Rejowy.

Zaczyna Zbylitowski od opisu swej dziedziny:

„Mam ja chłodnik przeplatany klonem gałęzistym,
Mam dom z jodły ciosanej, jest nad przeźroczystym
Zdrojem las jaworowy, są wysokie dęby...“

(Żywot, str. 5).

Dalej opisuje zajęcia swoje na wsi, zajęcia rolnika:

„Moja rzecz umieć rolę dobrze uprawować
I onę na przyszły rok zaś znowu gotować...“ (ib., 26, 9)
„Wolę patrzeć na pługi, kiedy ciągną w pole...
. . . .
Wolę patrzeć na ziarno, gdy je wrzuca w ziemię
Mój oracz pracowity...“ (ib., str. 10); por. też: „Wieśniak“;
(v. 190—120).

Gdy zaś zima przejdzie, a przednówek już nie groźny, bo się pszeniczka pięknie kłosi w polu:

„Jeśli co w gumnie zostanie,
Ku Gdańskowi puścić mogę
I sam z niemi płynąć w drogę.“
(Wieśniak, v. 672—4).

A teraz obrazek szczęśliwości i rozrywek wiejskich, jakby żywcem z Reja wycięty:

„Ja mam swoje uczciwe zabawy przystojne.
Zasiadłszy z przyjacielem w pachniącym ogrodzie,
W chłodniku przeplatanym, przy strumiennej wodzie,
Pod jaworem szerokim, to przy lutni śpiewać,
To w struny bić uciesznie, a każę nalewać
Chłodnego wina w czarę...
. . . .
Usłyszę jeszcze wespół z nim w ogrodzie moim
Jako piękny słowiczek nad ciekącym zdrojem
Gardłkiem swem wyprawuje i gżegżotka w sadu
Miasto lutnie i fletu śpiewa do obiadu...
. . . .
Obaczę jeszcze z okna...
Ano bydło do domu bieży wielkim krokiem,
Czując, że już noc bliska...
. . . .
Zaś pojrzym na ogrody pięknie ogrodzone
I na stawy porządnie wszystkie narybione:
Ano w tym tłuste karpie i leszcze pływają,
W drugim dosyć karasi, w inszym zaś biegają
Z ostrym grzbietem okunie i szczuki zuchwałe,
Pstrągi i brzany w sadzu i śliżyki małe.
Zaś pojrzę na swe gumno...“
(Żywot, str. 11—12).

Dla odmiany myśliwstwem lubi się zabawiać, zgoła jak Rej

„I lis w sieci bywa płony,
Lub ze psy, lub na usadkę
Zarzucę przy gaju siatkę:
Ptastwo zaś różne sidłami,
Potrzaskiem, albo połami
Krogulcem przepiórki szczuję...“
(Wieśniak, str. 696—701).

W zimie znowu inne rozrywki:

„¡W ciepłej izbie przy kominie
Siedzę...
Księgi rozliczne czytając,
Na lutni podczas brzękając...“
(Wieśniak, str. 239—42).

Nie przepomniał też Zbylitowski

„A jeśliś jeszcze przytem jest człowiek uczony,
Łacno piórem swem zasłynąć możesz...“
(Żywot, str. 11).

To chyba jedynie prawdziwa autobiograficzna wzmianka, boć chyba za takiego męża miał się sam nasz autor.

V.

W poezyi odbiły się rozliczne stosunki poetów do osób drugich, dzięki imiennym zwrotom, dedykacyom, przedmowom, napisom. Z wiersza Dantyszka: „In laudem Pauli Crosnensis, praeceptoris sui“ (op. cit., str. 60) wynika, że Dantyszek był jego uczniem. Potwierdza to wiersz Jana z Wiślicy: „Carmen exhortariorum Joan. Vislicensis ad Musam M. Pauli Rutheni“, zkąd także dowiadujemy się, że i Jan był uczniem Pawła:

„Dantiscusque tuus tollat te Tuchteniusque
Nec non Sarmaticis Crosna Ruthena locis.
Ille duobus erat clarus: tribus ipse nitescis
Discipulis, quorum tertius esse velim“ (v. 19—22).

Zaś Pawła z Krosna: „Propempticon... ad Seb. Maghyus“ (op. cit., str. 90) zawiera wskazówkę, że Paweł był mistrzem węgierskiego szlachcica:

„Quo properas, quaeso, properas quo semper amande
Discipule et celeri quo fugis, oro, gradis?“

Janicki jeszcze w Polsce pałał uwielbieniem dla Łasara Bonamica i gorzał z niecierpliwości zostania jego uczniem:

„Causa viae, Bonamice, mihi es: te propter in Alpes
Ivimus, huc longis transiimusque iugis.
. . . .
Credis? adhuc patriam colui, iam sponte remotum
Flagrabat magno pectus amore tui.“

(Var. El. VIII., v. 9—10, 37—8).

O związkach przyjaźni świadczy też niejeden utwór: Kochanowski wystawia pomnik przyjaźni swej dla Ossolińskiego:

„Nam cum ne duplex pestis subito invassisset
Duraque paupertas nec tolerandus amor
Ille laboranti succurit primus amico.“

(El. III. 7, v. 9—11).

Janicki oswiadcza tkliwe swe uczucia Wargowskiemu:

„Vargavi, qui non ut sum tibi coeptus amavi
Desinis officiis me cumulare tuis.
. . . .
Cor mihi tam magno flagrat amore tui.“

(Trist. X., v. 2—3, 32).

Podobnież w elegiach i epigramatach do Myszkowskiego, Wargowskiego, Andrzeja Kromera, Daniela Barbaro, Ludwika Dulciusa. Wogóle w utworach każdego z poetów odnajdujemy dość wzmianek, wystarczających do zakreślenia szerokiego koła jego znajomych i przyjaciół. „Fraszki“ i „Dworzanki — to księgi przyjaźni Kochanowskiego, to album jego „dobrych towarzyszów“. Za przykładem Kochanowskiego poszedł naturalnie i w tym szczególe jego naśladowca: Melchior Pudłowski, — we „Fraszkach“ odnajdujemy wszystkich wesołych kompanionów poety z czasów pobytu na dworze St. Wolskiego, a potem na dworze królewskim: więc Jana Pileckiego, Jakóba Żardeckiego, Gabryela Grabowieckiego, Szymona Tańskiego.

Naturalnie nazwiska spotykane w Epitaphium, jako w utworach mających bardziej konwencyonalny charakter, już nie są takiem wymownem świadectwem znajomości poety. Niewątpliwie znakomita część nagrobków Kochanowskiego powstać musiała na prośby osób trzecich.

Dr. J. Grzymała Grabowiecki.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".